LITWA I KWESTYA POLSKA.

Mówię o myśli politycznej odradzającej się Litwy. W danym wypadku muszę rozgraniczyć sfery poezyi i prozy, choćby to sprawić miało ból politykom litewskim, którzy prozaicznie poetyzują, zaś poetycznie politykują. Nie szargam świętości, utajonej w sercu masy ludowej, nie lekceważę ideowej pracy, z olbrzymim wysiłkiem woli już dokonanej (choć niestety niewyzyskanej należycie, rzetelnie), nie kalam złośliwą myślą samej Idei odrodzenia — nie! Jeno tylko zajmuję krytyczne stanowisko wobec ujawnionych już (w prasie i w życiu społeczno-politycznem) aspiracyj młodo-litewskiej myśli politycznej, propagowanej przez wpływowe jednostki i partye.

Wodzowie ruchu narodowo-litewskiego, chcąc usprawiedliwić swoje błędy (za które ponoszą odpowiedzialność), wciąż powtarzają, że są „wyrazicielami (ba! nawet ślepem narzędziem) woli masy ludowej“.

Pewien odłam inteligencyi litewskiej, która wykształcenie polityczne zaczerpnęła z mnóstwa broszur demagogicznych, zaleconych przez radykalnie rewolucyonizujące partye rosyjskie, albo z podręczników o wielce podejrzanej wartości historycznej, — propagował jednak i propaguje takie środki „wolnościowe“, które się sprzeciwiają duchowi odrodzenia litewskiego. Po prostu uwziął się „wyeksperymentować“ na żywym organizmie masy ludowej wszelkie możliwe i niemożliwe myśli polityczne i kulturalne. Uda się eksperyment — dobrze, nie uda się — też dobrze! Atoli kto ponosi odpowiedzialność za to? Ażali lud (którego jest się „ślepem narzędziem“), nie mający pojęcia o „eksperymentologii“ w duchu L. Andrejewa, którego utwory są już tłumaczone na język litewski, zda się, po to, iżby odrodzeniowy optymizm litewski zatruć jadem nihilo-pessymizmu?!

Właśnie ta lekkomyślna dowolność w wyborze środków, mających realizować ideę odrodzenia narodowo-litewskiego, — do-

wolność, wypływająca z nieuctwa i braku rzetelności, kolidująca z zasadami najprymitywniejszej myśli politycznej, — zniewala mnie do wypowiedzenia poniższych myśli, które zrodziła boleść samotności i trwoga o losy narodu litewskiego, wydanego na pastwę eksperymentologów nietylko obcych, zaborczych, lecz i swoich własnych — rdzennie litewskich. Litwa ma za wiele agitatorów, handlujących taniemi hasłami, zaś od chwili śmierci Kudyrki ani jednego Męża, którýby był naprawdę wyrazicielem „woli masy ludowej", w duchu Mickiewicza pojętej.

I.

Litwa w chwili obecnej przeżywa zaprawdę smutny okres wyczerpania, wyjałowienia, wycieńczenia myśli. I nie dziw. Młoda, niedoświadczona, zaledwie na chwilę z więzów niewoli na wolność wypuszczona, wzniósłszy się nagle w wyżyny romantyzmu, doznała zawrotu, poczęła roić niebywałe dotąd rzeczy, tworzyć baśnie „nowego życia", zaawanturowała się ponąd siły, a w chwili stanowczej, tracąc równowagę, opadła.

Po raz wtóry zerwała się, lecz już sił jej zabrakło.

Więc już nie próbuje lotu w romantyczną krainę. Nauczyła się praktyczności przyziemnej sfery, więc zachodzi obawa, że przez praktyczną opieszałość pustą klatkę, porzuconą na polu przez człowieka złej woli, uzna za... dom wolności swojej...

Bajki ludowe mają coraz większe zastosowanie w polityce; zwłaszcza bajki o ptaszynach wypuszczonych na wolność.

Jeszcze przed rewolucyą rosyjską młoda myśl narodowo-litewska, przeceniając swe zaledwie zalęgnięte wartości odrodzeniowe, przelicytowała wartości historycznej kultury litewskiej, stawiając na naczelnem miejscu Litwina dnia dzisiejszego. Nie chciała, nie próbowała nawet zrozumieć swych własnych dziejów. Pańszczyźniana nienawiść do pana-polaka zaślepiła oczy, które nie mogły odczytać dziejów wspólnej doli i niedoli. Zaślepiła umysł, który nie mógł się zoryentować w powodzi wymownych faktów historycznych, zwłaszcza tych, które dziś nam tłomaczą, że gdyby nie Unia Litwy z Polską, to awanturnicza, choć genialna, ekspansya Witowta na wschód ruski skończyłaby się gorszym, niźli nad Worsklą, pogromem, bo zupełną aneksyą Żmudzi przez Krzyżaków, zaś ziem ruskich przez Moskwę jeszcze za życia Witowta!...

Młoda myśl narodowo-litewska przelicytowała swoje własne

dzieje, a zwłaszcza fundamenty kulturalne, wydźwigając na plan pierwszy tradycyę pańszczyzny. I oto już w przededniu rewolucyi rosyjskiej znalazła się w kłopotliwem położeniu. Burzliwe debaty „Sejmu litewskiego“ (r. 1905) zdyskredytowały bowiem aż nadto wymownie aspiracye fanatycznych wyznawców „ślepej woli masy ludowej“ w kierunku anarchii [1]... Uświadomiła sobie, że bez powołania do życia twórczego historycznego typu kulturalnego, t. j. historycznego Litwina, nie zdoła nic stworzyć ani pod względem kulturalnym, ani pod względem politycznym — nic, co mogłoby skutecznie przeciwdziałać rusyfikacyjnej polityce rządu. Poczęła więc szukać tego typu historycznego i zgubiła się w labiryncie sprzeczności, niemożliwości. Oprócz jedynego Witowta, innego typu - wzoru nie mogła, nie śmiała znaleźć.

Młoda myśl narodowo - litewska nie może, nie musi odnaleźć siebie w historyi Litwy, a przynajmniej pogodzić z tą historyą tak, aby jej czyny były głębiej, niźli prawo pańszczyźnianej tradycyi, usprawiedliwione. Zwodzi ją Witowt, a przeraża, rozwściecza Jagiełło, (ten „zdrajca Litwy“). A priori rozgrzesza Witowta z błędów (których nawet rozumieć nie chce), a priori potępia Jagiełłę i w dalszej konsekwencyi ideę Jagiellonów, która (w oświetleniu Mickiewicza) nie była i nie jest „głupią“, jak się zdaje współczesnym „następcom Witowta“. Istniejącego typu historycznego, wychowanego na kulturze Zachodu, uznać, unarodowić bez zastrzeżeń nie może, boć przecie z Polską, która tę kulturę szczepiła, trzeba „raz na zawsze zerwać“, aby już „nie było złej pokusy“. Pełnia kultury narodowej, będąca syntezą kultur gminnej (ludowej) i rycerskiej (szlacheckiej), staje się dlań ideałem, urzeczywistnić się niedającym bez „kalectwa duchowego“... Gdzież więc wyjście z tej opresyi? Gdzież ten „inny“ (rzeczywisty) wzór kultury? Gdzież ta harmonia bez „kalectwa duchowego“, uniezależniona od tradycyi? Ażali tylko w ludzie, który oprócz energii passywnej, nie posiada energii agressywnej, assymilującej, unaradawiającej obce pierwiastki ducha? A może na Wschodzie bizantyńskim?....

---

[1]) Niedawno jeden z fundatorów „Związku włościan litewskich“ (utworzonego w r. 1905), wyznał mi otwarcie, że „gdyby nie on, to na Litwie zapewno byłaby rzeź szlachty litewskiej“ (równocześnie z rewolucyą łotewską).

I tu jest punkt kulminacyjny. Młoda myśl narodowo-litewska stoi na pograniczu dwóch kultur, na zabój ze sobą rywalizujących. Stoi na miedzy, dzielącej Słowiańszczyznę na dwa wrogie obozy — wschodni i zachodni. Odrzucając Polskę, odrzuca, przekreśla 5-wiekową tradycyę, dokonuje na sobie szalonej wiwisekcyi. Wraca do czasów przed-kiejstutowych, pra-jagiellonowych — do tradycyi ciążenia ku wschodowi (choćby wbrew „woli masy ludowej"). Podlega hypnozie kultury rosyjskiej (zwłaszcza „postępowej"), nie mając wypróbowanej woli współzawodniczącej. Dla osiągnięcia celu politycznego „dyplomatycznie" ciąży ku Wschodowi — jako sprzymierzeniec „in spe". Łudzi się, że tak współdziałając, osiągnie dla siebie cel „błagodatny", bez obawy stania się bezwiednem narzędziem machiawelskiej polityki rządu [1]).

Właśnie tego rodzaju „ewolucyę" spostrzegam dziś na Litwie. Współczesny ruch narodowo-litewski fatalnie grawituje ku narodowi rosyjskiemu, jako sprzymierzeńcowi politycznemu. Paniczna ucieczka przed Polską, pcha, rzuca Litwę samą już siłą rozpędu w objęcia wschodu kulturalnego, który ma moc magnetyczną, niwelującą „obcoplemienne dążności kulturalne". — Nie mówiąc już o niebezpieczeństwie Prus, ostrzących apetyt na całe wybrzeże bałtyckie, dla Litwy — jako narodu — niema trzeciej alternatywy: albo z Polską, a wraz z Polską i Zachodem, albo z Rosyą — jako narodem i wschodem kulturalnym!

Młodolitwini dziecinnie wierzą w „poczucie sprawiedliwości" narodu rosyjskiego, który się odradza i nowy, zadziwić mający Europę, ład zapewno zaprowadzi, Litwie zaś zagwarantuje wolność taką, jakiej Polacy nigdy, gdyby nawet byli w możności, nie zagwarantowaliby.

Polacy — to naród niewdzięczny, wyzuty z poczucia sprawiedliwości, uzurpatorski... Rosyanie — a, to co innego! Ich demokratyzm... ich literatura nam, młodolitwinom, więcej imponuje, niżli polska, więcej nas wzrusza, uczy... Nie możemy się

---

[1]) Za przykład podaję Łotyszów, którzy przed laty uprawiając politykę lojalizmu wobec rządu, znaleźli się w pułapce — w zaczarowanem kole, z którego zaprawdę trudne wyjście. Łudzili się, że lojalizmem zdołają zniszczyć baronów kurlandzkich, nie przypuszczając, że rząd rosyjski zaszachuje odrodzenie Łotwy lojalizmem tychże baronów! Rewolucya łotewska była aktem ekspiacyjnym, aktem uświadomienia politycznego Łotyszów.

zżyć z „narodem panów“ — z Polakami, wyzutymi z uczuć demokratycznych. Demokratyzm rosyjski, pokrewny naszej pańszczyźnie, daje nam większą gwarancyę przyjaźni, równych z równymi....

I oto jesteśmy już świadkami zadziwiającej „ewolucyi“. Za Kiejstuta Litwa się ruszczyła „na zabój“ i wydała rosyjskiej sławy „rycerzów“, których potomkowie dziś „istinno russkije“; za Jagiellonów Litwa się polszczyła i wydała europejskiej sławy geniuszów; za cara Mikołaja II. Litwa wzdychać poczyna do „sprawiedliwości narodu rosyjskiego“ i oczywiście wbrew woli — pod wpływem naturalnej hypnozy — zamierza literaturę, naukę i sztukę rosyjską wzbogacić swoimi talentami (Bałtaszajtis — znany w literaturze rosyjskiej modernista — już zrobił dobry początek). Kadry młodolitewskie duchowo są tak zrusyfikowane, że niema już potrzeby ich odpolszczać, bo ten fakt pisma litewskie oficyalnie już stwierdzają, oczywiście nawet nie próbując zgłębić przyczyny, powodującej to nieszczęście. Zaprawdę difficile est satiram non scribere! Mania prześladowcza na punkcie Polski prowadzi młodolitwinów do odwrócenia wszystkich wartości na opak. Trzeba mieć zaprawdę bohaterskie poczucie i świadomość kultury romańskiej i jej znaczenia dla katolickich narodów, aby jasno zrozumieć niebezpieczeństwo neobizantynizmu, czy to w formie postępu, czy w formie messyanizmu (Mereżkowskij), czy w formie nacyonalizmu propagowan go. Litwa była, jest i będzie prześladowaną głównie za swój „latynizm“ — za swoją odrębność kulturalną. Młodolitwini, których większość choruje na indyferentyzm, tej różnicy — tej rywalizacyi religijnej — nie czują, nie rozumieją. Nie wiedzą, że po zerwaniu politycznej Unii z Polską, zanim nastąpi „era bezreligijności“, Litwę będzie łączyć z Polską wspólna idea katolicyzmu...

II.

Tragedyą Młodej Litwy jest niemożliwość wyjścia „z honorem“ ze sfery walczących wpływów Rosyi i Polski. Im więcej młodolitwini nienawidzą Polaków, tem więcej sprzyjają wrogom polskości. Właśnie na tem tle nienawiści, idyosynkrazyi, rodzą się czyny niepoczytalne.

Ilekroć antagonizm polsko-litewski przybierał formę gwałtowną (zwłaszcza o język kościelny), tylekroć reakcyjna prasa rosyjska (*Nowoje Wremia*, *Wilenskij Wiestnik*) brała Litwi-

nów pod swoją opiekę, Polakom zaś udzielała ostrej nagany i przestrogi, że „Litwa podlega wpływom rosyjskim, nie polskim“. Rząd rosyjski wie, czego chce, dokąd zmierza.

Dla rusyfikacyjnej polityki byłoby ciosem strasznym pojednanie polsko-litewskie (po uprzedniem załatwieniu spornych kwestyj) w imię walki z reakcyą, która państwo rosyjskie doprowadza już do stanu barbarzyństwa.

Litwinów, działających w duchu zgody polsko-litewskiej, na palcach można policzyć. Lecz zato „historyozofów“, „socyologów“, „mężów stanu“, wyszkolonych na broszurkach ulotnych, nie mających rzetelnie przetrawionego pojęcia o dziejach Litwy, lecz „z przekonaniem“ dowodzących, że „unia Litwy z Polską była politycznym nonsensem“, że „Grunwałd jest dziełem tylko Witowta“, że „naturalnem, zniweczonem przez Polaków, posłannictwem Litwy (Witowta) było: stworzenie wiekopomnego państwa na Wschodzie itd., jest arcywielu. Kiedy tylko się nadarzy jaka sposobność „popisania się wiedzą“, ci właśnie „historyozofowie“ Litwy zaraz udzielają Polakom „lekcyi historycznej“ (odgłosy nacyonalistycznej prasy litewskiej o uroczystości grunwałdzkiej) i to jeszcze w stylu takim, jakiego nie powstydziłby się pisarz gminny (np. z okazyi otwarcia IV. wystawy litewskiej 14. marca b. r. *Viltis*, organ klerykałów-nacyonalistów).

Kulturalna, duchowa rusyfikacya Młodej Litwy szybko postępuje naprzód. Oczywiście — wolno Młodolitwinom unaradawiać, dla braku swoich własnych, choćby nawet tatarskie wzory kulturalne („czemu nie z Tatarami, a koniecznie z Polakami?“ — tryumfalnie zapytał mnie pewien młodolitwin) — ale chodzi o to hasło „Carthago delenda est“, stosowane specyalnie do Polaków, — hasło, które w ustach zwłaszcza Litwinów brzmi co najmniej komicznie, choćby ze względu na nacyonalizm panrosyjski, posługujący się tem samem hasłem w stosunku do wszystkich narodowości Rosyi. Jeżeli wszczęta przez biurokracyę jeszcze za Murawjewa kolonizacya Litwy (specyalnie Żmudzi) kacapami i bosiakami, mającymi reprezentować „russkość ziem litewskich“, nie orzeźwiła demagogów młodolitewskich na punkcie rzekomo strasznego niebezpieczeństwa polskiego, kierując czujność ich w stronę niebezpieczeństwa właściwego, to się stało jedynie dzięki popularnemu frazesowi: „po obaleniu caratu, ure-

gulują się stosunki litewsko-rosyjskie, atoli przed zaborczością Polaków niema innego ubezpieczenia, jak ciągła walka“...

Młodolitwini z jednej strony roszczą pretensye do litewskości Mickiewicza, Kościuszki i wielu innych w Polsce znakomitych ludzi, z drugiej atoli strony duchową treść Mickiewicza, Kościuszki i in. w swem życiu kulturalnem rugują, zwalczają — jako „polskie niebezpieczeństwo“. Błąd tkwi w nieszczerości.

Gdyby wieszcza myśl Mickiewicza, sankcyonująca dobrowolne braterstwo Litwy i Polski, kształtowała odrodzenie narodowo-litewskie, wychowywała młode pokolenia Litwy, wówczas pretensye młodolitwinów do litewskości Mickiewicza miałyby głębokie uzasadnienie. Lecz tak nie jest. Litewskość Mickiewicza potrzebną jest młodolitwinom po to, aby tą „wieszczą litewskością“ zwalczyć Polskę, zniweczyć na zawsze Unię! „Litewskość“ Mickiewicza — słowem — ma być biczem na Polaków w ręku młodolitwina! Młodolitwini chcieliby widzieć w Mickiewiczu i Kościuszce uosobienie tylko chłopskiej kultury, bo tych mężów szlacheckość wielce ich niepokoi i drażni. Schłopić Mickiewicza w duchu parafiańskim, albo zdemokratyzować go w duchu rosyjskiego „postępu“ — niepodobna. Więc?... pytanie, sprawiające kłopot.

Młodolitwini sami nie wiedzą, co mają począć z 5-cio wiekową kulturą szlachecko-litewską, będącą owocem wpływów kultury polsko-romańskiej. To przyjmują ją, to odrzucają — tak samo, jak i Mickiewicza. W żaden sposób ducha tej kultury nie mogą pogodzić z duchem kultury ludowo-litewskiej, bo nie mają poczucia kultury historycznej. Unarodowić kulturę szlachecko-litewską, użyźniając jej bogatą treścią słaby organizm narodowy, boją się panicznie, choć czują, że bez jej unarodowienia losy przyszłej kultury litewskiej, li tylko z ludu płynącej, są niepewne ze względu na ekspanzyę zwłaszcza kultury rosyjskiej, której trzeba przeciwstawić coś trwalszego, niźli język litewski, mianowicie: treść — tradycyę historyczną!

Kultura litewska, pozbawiona treści historycznej, nie ma narodowej wartości, bo stoi w rzędzie li tylko kultur ludowych! Ludu litewskiego nie wynarodowiono i nie wynarodowi się dzięki jego sile odpornej. Lecz tej siły odpornej nie wolno identyfikować z wolą twórczą, która nakłada na naród obowiązki wielkie... Lud jest potęgą — niezaprzecze-

nie, lecz ta potęga ludu nie podoła obowiązkom twórczym. Lud sam jeden tylko nie udźwignie ciężaru ani sztuki narodowej, ani nauki, ani literatury, ani wreszcie polityki prawdziwie narodowej, mającej na celu dobro całego narodu. „Wolę ludu“ trzeba wzmocnić wolą, zahartowaną i wypróbowaną już w dziejach — wolą Litwina historycznego! Źródeł kultury litewskiej z treścią historyczną trzeba szukać w ciągłości dziejów Litwy, których okres największy (unia z Polską) przez młodolitwinów jest zakwestyonowany, niestety, — jako niebezpieczny.

A więc samo już zagadnienie kultury narodowo-litewskiej staje się tragicznem. Jeżeli wyrzucić z kultury historycznej Litwy t. zw. polskie wpływy, to pozostanie tylko „naga“ kultura ludowa, mieszcząca w sobie dużo w poetyczne formy ujętych przesądów i zabobonów, a nadto jeszcze pozostaną niewyrugowane wpływy wschodu ruskiego.

Inteligencya młodolitewska, z ludu, wzmocniła już w sobie wpływy rosyjskie. Zaśmiecanie literatury litewskiej lichemi tłumaczeniami lichych utworów literatury rosyjskiej, najmniej dla młodzieży pożądanych, jest tych wpływów skutkiem. Tak się mści na młodolitwinach brak zmysłu historycznego. — Szukając „punktu wyjścia“ w schłopieniu wartości kultury historycznej, od dojrzałych wzorów wracają do dziecinnych! Dlatego też i charakter młodolitewski jest taki dziecinny w stosunku do zagadnień XX w.

Młodolitwini dziecinnie łudzą się, że placówki litewskie (jak np. Wilno), będące obecnie w posiadaniu polskiej większości, po wyrugowaniu Polaków z Litwy (maniackie marzenie Dowojny Sylwestrowicza, redaktora *Litwy*), — staną się wyłączną własnością narodową Litwinów. Nie przeczuwają naiwni, że po „wykurzeniu“ Polaków z Wilna — rząd rosyjski natychmiast zawoła: „Hola! Wilna iskoni russkij gorod!“ Właśnie na tego rodzaju niespodzianki młodolitwini nie chcą być przygotowanymi. W zaślepieniu swem do Polaków nie rozumieją, że właśnie rząd rosyjski uroił sobie nadhistoryczne prawa, nietylko do tych wszystkich spornych placówek, gdzie mieszka polska większość, lecz i do „stanu posiadania narodowo-litewskiego“, — że rząd, choćby konstytucyjny, przenigdy nie dopuści, aby Litwini rozszerzyli sferę swoich kulturalno-politycznych wpływów. Jakże wobec tego faktu blednie antypolski światopogląd młodolitwinów!...

Litwini nie mają ani jednego miasta w posiadaniu narodowem, nie mają klasy mieszczańskiej, nie mają sympatyi mniejszości, zamieszkującej etnograficzną Litwę (Żydzi — jako element zrusyfikowany — są plagą Litwy), — Litwini nie mają głębszego uświadomienia narodowo - politycznego, nie mają zresztą ludzi, odpowiednio do zadań autonomicznych wykształconych, zdolnych do politycznej pracy twórczej, — a jednak już się domagają autonomii politycznej z sejmem i uniwersytetem w Wilnie, już marnują energię w walce z Polakami o tę właśnie chimerę, zależną od chimery rządu rosyjskiego! Zaniedbanie organizacyi narodowej, wewnętrznej i zewnętrznej pracy twórczej o szeroko zakreślonym celu, zaniedbanie budowy od podstaw na koszt złośliwie uśmiechniętej chimery, łechcącej pychę narodową, otoć praca! Projekt autonomii litewskiej, arcyszumnie ogłoszony w Wilnie na t. zw. „Sejmie litewskim“, wykoleił w zupełności apolityczne, marzeniem przepojone umysły młodolitewskie. Na ten temat młodolitwini roili sny bez końca, a gdy nadeszły jesienne dni reakcyi, ze zwieszoną głową poszli na mogiłę rewolucyi i tam uświadomili sobie po raz tysiączny i pierwszy, że główną przyczyną całego złego, jakie obficie spływa na głowę Litwy, jest unia z Polską, że „Polska zgubiła Litwę“, że przyszłość Litwy w poskromieniu Polaków itd. itd.

A rząd rosyjski plecie nowy nahaj i na litewską i na polską wolność — i na litewską i na polską autonomię!...

III.

Punkt przełomowy, na którym stanęła myśl młodolitewska, budzi poważne obawy. Naród litewski jest w przededniu a n a r c h i i k u l t u r a l n e j, do której prowadzi fatalne zaślepienie kierowników odrodzenia. Fanatyczna walka o światopogląd narodowy (postęp contra klerykalizm) niszczy organizm narodowy, czyniąc go niezdolnym do pracy twórczej, doprowadzając do stanu atrofii. Twórczą pracę (zwłaszcza w kierunku oświaty) partyi klerykalnej zajadle zwalczają postępowcy — i na odwrót, propagandę postępowej „wolnej myśli“ jeszcze zajadlej zwalczają klerykali. Wytworzył się stan, niemożliwy do zniesienia. Dorobek kulturalny w ciągu ostatniego dziesięciolecia prawie żaden. W chaosie demagogicznych, tanich hasełek zgubiła się myśl wielka, której brak działa deprymująco. Literatura narodowa, zanieczyszczona wpływami modnych nowelistów rosyj-

skich, obniżyła się w tonie, skurczyła się, zgorzkniała, zestarzała... Słowem, wszystko w zawieszeniu.

Przyczyną tego złego jest to, że zakwestyonowane, odrzucone wartości kulturalne zastąpiono pięknymi frazesami, paradoksami i hasłami, — że lekkomyślnie zlekceważono prawdę historyczną. „Katolicyzm narzucono nam p r z e m o c ą przez księży jezuitów polskich, — wołają postępowcy — więc nie mamy obowiązku ponosić dla Watykanu ofiar zbyt wielkich!“ — „Unię z Polską p o d s t ę p n i e narzucił nam zdrajca Jagiełło, opętany przez Oleśnickiego, — wołają klerykalni nacyonaliści — więc nie mamy żadnych wobec tej unii obowiązków, odrzucamy ją precz — jako więzy!“ Więc już zgoła żadnych obowiązków niema wobec przeszłości? A wobec rzeczywistości, która tęj przeszłości jest czyścem? Młoda Litwa, chcąc mieć prawo do miana narodu, musi przyjąć wszystkie konsekwencye przeszłości historycznej Litwy — jako obowiązek ekspiacyjny. Człowiek, obejmujący w posiadanie przekazane mu dziedzictwo, przyjmuje je wraz z długami i zobowiązaniami na niem ciążącemi. Tak samo młodolitwini, chcąc objąć w posiadanie dziedzictwo swoje — Litwę, muszą ją przyjąć wraz z długiem i zobowiązaniem historycznem! W przeciwnym bowiem razie a priori ogłaszają swą niewypłacalność wobec historyi, wobec tradycyi , a już przez to samo podkopują istotę prawa do dziedzictwa!

Tej właśnie prawdy młodolitwini, zda się, rozmyślnie zrozumieć nie chcą. Likwidując w stylu rosyjskim (precz z tradycyą!) historyczną spuściznę, zachowują sobie tylko... sławę kniazia Witowta i tradycyę pańszczyzny, na której rachunek wygłaszają tylko same cnoty odradzajacej się Litwy. Hasło: „żadnych obowiązków wobec tradycyi historycznej“ prowadzi zawsze do zaparcia się poczucia wszelkich obowiązków. Tylko p o c z u c i e o b o w i ą z k u h i s t o r y c z n e g o hartuje wolę twórczą, organizacyjną. Jest to fakt już stwierdzony. Rosyanie, wyzuci z poczucia obowiązku historycznego wobec swej ojczyzny, stanowią najlepszy materyał dla anarchizmu, albo... despotyzmu. Włosi natomiast są właśnie silni tem poczuciem — tą niemal dziecięcą miłością dla własnej tradycyi... Młodolitwini, ignorując tę prawdę, zdeprawowali młodociane umysły do tego stopnia, że nawet uczniak gimnazyalny czuje się w prawie rzucić narodowi polskiemu jako „ciemięzcy i wampirowi ducha Litwy“ — ręka-

wicę pogardy! A wszak tego rodzaju rzeczy mszczą się na samym narodzie...

Kto jest bez winy wobec historyi? Nikt zaiste. Skompromitowane są już wszystkie formy rządu — od absolutnych do rewolucyjnych, wszystkie! Skompromitowaną jest szlachta, lecz i lud jest skompromitowany! Wobec historyi są wszyscy dziedzicznie winni — nawet lud, który się zbrukał rzeziami w rodzaju galicyjskiej! Po co to poszukiwanie „dziury na całem“, po co te ciągłe poszukiwania „kozła ofiarnego?“ Winy nie usprawiedliwiają okrucieństwa sędziów. Polska i litewska szlachta zawiniła wobec ludu, lecz i odpokutowała. Sybir jest świadkiem tej jednej z najstraszniejszych pokut...

Ludowi litewskiemu zależało i zależy tylko na ziemi szlacheckiej. „Wola ludu“ litewskiego (jak i każdego zresztą) dąży do wydziedziczenia szlachty z ziemi. Atoli reprezentantom narodu litewskiego, jakimi się mienią młodolitwini, musi zależeć na czemś więcej, mianowicie: na podwalinach kultury narodowo-litewskiej. Metodą ekonomii politycznej nie da się rozwiązać kwestya narodowo-litewska. Ekonomiczne interesy muszą być podporządkowane idei twórczej, troszczącej się o harmonijny rozwój wszystkich stanów, naród stanowiących. Nizki stopień kultury jest tamą dla rozwoju ekonomicznego. Przykładem naród rosyjski, ekonomicznie eksploatowany przez obce kapitały.

Zerwanie zwłaszcza kulturalnych więzów ze szlachtą już się mści na młodolitewskiej myśli.

Młodolitwini nie chcą się przyznać do błędu. Wolą oddać się na los szczęścia, pozwalać się pchać sile wypadków, już od ich woli, niestety, niezależnych, niźli zainicyować myśl zgody i pojednania, kres kładąc marnowaniu energii!...

Pora już, aby młodolitwini zrozumieli, że kwestya polska w Rosyi jest właściwie synonimem wolności i niepodległości. Dokoła sprawy polskiej obraca się cała polityka wewnętrzna rządu, o tę sprawę rozbija się projektowane „braterstwo Słowian“, ta sprawa, nie będąc załatwioną, pozbawia wiary nawet w „poczucie sprawiedliwości narodu rosyjskiego“. Nie wiele kosztowałoby młodolitwinów zrozumienie, że stojąc po stronie Polaków, bronią sprawy wolności narodów, wyjętych z pod prawa, spłacają dług historyi ojczystej, której dziedzicami się mienią!...

Oczywiście, wytykając błędy myśli młodolitewskiej, wcale nie mam zamiaru a priori rozgrzeszać z winy szlachty litewskiej i Polaków, zwłaszcza na terytoryum Litwy zamieszkałych. W danym wypadku nie tyle mi chodzi o winę Polaków, ile o to fatalne uczucie idyosynkrazyi większości młodolitwinów do narodu polskiego. Ja zawsze mam bolesne wrażenie, że gdyby nawet szlachta litewska uznała supremacyę „woli ludu“ za zgodą społeczeństwa polskiego, to i wówczas to fatalne uczucie idyosynkrazyi nie byłoby nasycone.

Nie może go złagodzić nawet pojednawczo w stosunku do ruchu narodowo-litewskiego usposobiona część prasy polskiej *(Kuryer Litewski, Nowa Gazeta, Prawda, Kultura).* Na przyjazne uśmiechy prasy polskiej młodolitwini odpowiadają gorżkim uśmiechem, zda się, chcąc powiedzieć: „Nie mamy do was zaufania!...“

IV.

Lwią część winy za pogorszenie się stosunków polsko-litewskich ponosi większa część szlachty litewskiej, która nie chciała zrozumieć swoich względem ludu litewskiego obowiązków obywatelskich, częstokroć lekkomyślnie prowokując i tak już rozdrażnioną miłość własną Litwinów. Obywatelska praca szlachty wśród ludu litewskiego — z ludem i to w kierunku oświaty, przeciwdziałającej naporowi zgubnych wpływów (zwłaszcza rosyjskich), podjęta, — byłaby zaprawdę balsamem na jątrzącą się ranę kwestyi litewskiej! Lecz jakże mało obywateli ziemi litewskiej czuje, rozumie i spełnia ten obowiązek obywatelski! Znaczna większość szlachty dla wygodnego spokoju i bezpieczeństwa opłaca się małymi datkami pieniężnymi partyi klerykalnej (Towarzystwom „S a u l e“, „Ż i b u r y s“, „Ś w. K a z i m i e r z a“) i biernie, oczekując „końca“, przygląda się gorszącym, iście kanibalskim walkom nacyonalizmu litewskiego z nacyonalizmem polskim o język litewski w kościołach, o prawo „gospodarza domu“, o ziemię szlachecką, o rozgraniczenie wpływów kulturalnych itd. Miasto być s u p e r a r b i t r e m w tym sporze (do czego czuć się winna historycznie powołaną), szlachta litewska niemal obojętnie traktuje tę tragiczną kwestyę, która — gdyby zmora — zaciążyła na sumieniu człowieka kultury. Właśnie ta obojętność szlachty jest karygodną. Tu już nie chodzi o odnarodowienie szlachty — nie! Tu chodzi o pracę obywatelską z ludem w duchu po chrześcijańsku pojętego postępu, o popieranie

koniecznych, dodatnich objawów ruchu narodowo-litewskiego, zaś o zwalczanie tego ruchu ujemnych zboczeń! Gdyby szlachta zrozumieć chciała swą kulturalną rolę na Litwie, o! zaprawdę wprowadziłaby do ruchu narodowo-litewskiego świeże, ożywcze prądy, skutecznie walczące o prawa Litwina historycznego, tworzące podwaliny pełnej kultury narodowo-litewskiej... Niestety! Zaślepienie, apatya, ospałość, gnuśność tryumfuje w większości dworków litewskich — tam, gdzie ongi świeciła pochodnia braterskiej wolności!... Jeżeli Litwa stanie się kulturalnym łupem Wschodu rosyjskiego, na sumieniu szlachty zaciąży jeden jedyny wyrzut: wyrzut gnuśności w chwili stanowczej, decydującej, którą przespała, troszcząc się o... wygodę!...

Komu, jeżeli nie szlachcie, winno zależeć na sprawiedliwem rozwiązaniu kwestyi języka kościelnego w spornych dyecezyach, która doprowadza do gorszących scen w Domach Bożych, do profanacyi uczuć religijnych, do rozłamu à la maryawityzm, do indyferentyzmu? Komu, jeżeli nie szlachcie, zależeć winno na rozwiązaniu kwestyi ekonomicznej środkami, przeciwdziałającymi kolonizacyi rosyjskiej (piękna odezwa *Kuryera Litewskiego* do szlachty w tej kwestyi godną jest zapamiętania), oraz skutkiem tej kolonizacyi wzrastającemu ruchowi emigracyjnemu włościan?

Wreszcie komu, jeżeli nie szlachcie litewskiej, bezpośrednio obcującej z ludem, zależeć winno na rozgraniczeniu wpływów kulturalnych w życiu towarzyskiem, społecznem, politycznem — na tem, aby te wpływy drogą naturalnego współdziałania i współzawodnictwa równoważyły się i nie przybierały cech kanibalskich?

Błędy polityczne, popełnione przez Polaków na Litwie, konsekwentnie prowadzą do tego, że „przymierze litewsko-ukraińskie“, zainicyowane w *Literaturno-naukowim Wistnikie* (styczeń 1909 r.) przez prof. Hruszewskiego, stać się może faktem dokonanym — tem boleśniejszym dla Polaków, że ostrze tego przymierza głównie przeciwko narodowi polskiemu skierowane będzie. Większość młodolitewskich działaczów już zdawna zachwyca się taktyką „borytelstwa“ Rusinów galicyjskich, niejednokrotnie dając folgę tym zachwytom...

Jeżeli uwzględnimy i ten jeszcze fakt, że w niedalekiej przyszłości zanosi się na „trójprzymierze“ (litewsko-ukraińsko-białoruskie), skierowane również przeciwko Polakom, to taktyczne błędy polityki na Litwie są nie do darowania! Jeszcze przed

sześciu laty Litwini nieufnie, ironicznie traktowali ruch białoruski, podejrzywając w nim „intrygę polską“, mającą na celu pokrzyżowanie aspiracyami białoruskiemi autonomicznych planów Litwy. Lecz w ostatnich czasach, zdaje się, zanosi się na zgodę co do autonomii litewskiej, przez rozgraniczenie etnograficznie zakreślonych sfer wpływów — białoruskiej i litewskiej. Przymierze litewsko - białoruskie mogłoby dojść do skutku pod warunkiem, że Białorusini ułatwią Litwinom „zdobycie“ Wilna — jako centrum politycznej autonomii.

Oczywiście wkraczamy w sferę marzeń — w sferę t. zw. „polityki na papierze“, mającej małe widoki powodzenia. Wszakże nie mogę pominąć milczeniem i tego rodzaju marzeń, charakteryzujących nastroje umysłów młodolitewskich, których — trzeba to wyznać otwarcie — prowokacyjna polityka pewnej części Polaków do tego stopnia już rozwścieczyła, że niczego już nie pragną, jak tylko „zemsty na Polakach za wszelką cenę“...

W tej „żądzy zemsty“ młodolitwini posuwają się już tak daleko, że skłonni są oświadczyć się za temi narodowościami słowiańskiemi, które jawnie wywiesiły sztandar antypolski. Naród polski — mimo platonicznej przyjaźni Czechów, Chorwatów i kilku profesorów - Rosyan — staje się coraz więcej odosobnionym, przez wrogów osaczonym, niemal do muru przypartym. Z jednej strony polityka rusyfikacyjna, z drugiej „krucyata antypolska“ ze strony tych narodów, które ongi tworzyły państwo polskie, paraliżujące bizantyńskie „Drang nach West“...

Ten fakt sprawia młodolitwinom radość, której nie ukrywają. „Przyparci do muru Polacy prędko skapitulują przed nami“ — łudzą się. Będących pod urokiem „żądzy zemsty“ młodolitwinów niepodobna od razu opamiętać nawet przestrogą, że Litwa, biorąc udział w tej „krucyacie antypolskiej“, bezwiednie ułatwia zadanie zniszczenia „obcoplemieńców“, między sobą śmiertelnie powaśnionych. Prawdziwy „finis Poloniae“ byłby prawdziwym końcem — epilogiem odrodzenia litewskiego. Bez złudzeń w tym względzie! Tylko dzięki temu, że i s t n i e j e k w e s t y a p o l s k a w R o s y i, Litwa może roić piękne sny o przyszłości swojej. Z chwilą, gdyby już nie było tej kwestyi polskiej, przepadłoby znaczenie „sprawy litewskiej“!

Młodolitwini, którzy nie umieją zawrzeć przymierza z Łotwą (kwestya od dawna aktualna), którzy nie mogą zrzeszyć się kulturalnie z pruską Litwą, będącą wrogiem „Wielkiej Litwy“ —

projektują w imieniu całego narodu, partyjnie i duchowo pokawałkowanego, rozbitego, „antypolskie przymierze“ z tymi, których przyjaźń dla Litwy — choćby ze względu na dzieje litewskie — najmniej budzi zaufania (przecież Litwinów więcej zbiałoruszczyło się, niźli się spolszczyło — to fakt!). Czy nie byłaby wskazaną praca nad tem przedewszystkiem, aby w samym narodzie litewskim zapanowało przymierze dusz bratnich, miasto dzisiejszej anarchii i bratobójczej walki?

Ze strony Ukraińców „krucyata antypolska“ w stylu prof. Hruszewskiego ma przynajmniej historyczne uzasadnienie i usprawiedliwienie. Tradycya Siczy Zaporoskiej walczy z tradycyą Jeremiego, tradycya bizantynizmu kijowskiego walczy z tradycyą latynizmu. Ukraina może ostatecznie o tyle przekreślić dzieje Unii Lubelskiej, że ma za sobą dzieje anarchizmu kozackiego, nie dające się pogodzić z samem pojęciem unii, a nadto — choć i sztucznie dziś nawiązaną — tradycyą państwa kijowskiego, tradycyą praliteratury ruskiej, wprawdzie zagrabioną przez Rosyan, lecz duchem przynależną do Rusi!...

Litwa nie ma ani tego rodzaju usprawiedliwienia. Wielkie Księstwo Litewskie przed unią było państwem więcej ruskiem, niźli litewskiem. Forma katolicyzmu litewskiego jest wierną kopią katolicyzmu polskiego, a więc i kultura litewska, na tem podłożu katolickiem utworzona, oczywiście stoi w bliskiem pokrewieństwie z polską — mimo etnicznych różnic.

I po unii aż do rozbioru stanowiła Litwa odrębne państwo; nadużycia popełniała właściwie tylko szlachta litewska. Wspólne dole i niedole w walce najpierw z Krzyżakami, a później z Moskwą, zahartowały duszę litewską w poczuciu koniecznej jedności z Polską i t. d. i t. d. Jakże dziś można zmienić tę tradycyę? Polski lud również nie zawierał z Litwą unii, a jednak dziś — w miarę uświadamiania się — tej unii ducha nie zwalcza. Czemuż więc lud litewski nie może dojść do świadomości, że unia ludów ciemiężonych jest koniecznością? Młodolitwini odpowiedzą: „lud polski uświadomiła rzeź galicyjska“. Powiem im na to: „rzeź litewska uświadomi lud, że niema już powrotu do zatraconej idei odrodzenia, że jarzmo jest konieczną prawdą!“...

Po odrzuceniu tradycyi łacińsko-polsko-litewskiej, ogólnie mówiąc: zachodniej kultury, jakież tradycye kulturalne pozostają młodolitwinom na potwierdzenie ich żalu, że „Polska popełniła

gwałt na duchu Litwy primo przez chrzest, secundo przez zaszczepienie polskości“? Oto tylko tradycye pogańskie — ciemne, zagadkowe, straszne! A powrót do tych tradycyj czy jest możliwy dzisiaj — w wieku XX., który nawet tak potężną tradycyę chrześcijańską usiłuje zlikwidować?...

Młodolitwini, chcąc historycznie usprawiedliwić „krucyatę antypolską“, muszą swe aspiracye „zemsty za gwałt dokonany na Litwie“ nawiązać do jakiejś tradycyi, którąby miała racyę bytu w wieku XX. Ponieważ tradycye pogańskie tej racyi bytu dziś nie mają, więc cóż pozostaje? Chyba zbizantynizować się, albo przejść na wiarę... maryawitów! Wówczas już zginie podłoże tej nieszczęsnej „gwałcicielki“ — unii polskiej...

Lecz postępowi młodolitwini już zaradzili złemu — wynaleźli skuteczne „lekarstwo ideowe“: ideę bezwyznaniowego postępu, która oczyszcza ich z wszelkich tradycyj (człowiek bowiem — według kanonu postępu — żyje od chwili poczęcia „wolnej myśli“ — atradycyjnie). Dzięki tej idei czują się nowo narodzonymi Litwinami, wolnymi od wszelkich obowiązków przeszłości. Jest to nowy, wtóry chrzest Litwy — tem smutniejszy, że „ideowy olej namaszczającego postępu“ płynie nie z ducha, lecz z mózgownicy proroka również... obcej narodowości! Zaprawdę wolę już „sztundę“ ukraińską. Przynajmniej nosi markę narodową!...

* * *

Mówiąc w duchu Mickiewicza, Młoda Litwa zdradza powołanie swoje, missyę swoją w Słowiańszczyźnie. Miasto kształcić się na idei braterstwa, zrodzonej przez tego, do którego, jako syna, skwapliwie się przyznaje — miasto krzesać i w sobie i w bliźnich narodach ogień miłości, z upodleniem walczącej — sama ulega hypnozie bizantyńskiej nienawiści, maskującej się „interesem dobra narodowego“, powodując gaśnienie gwiazd nielicznych na ciemnem Litwy niebie!... Ten pozna przyszłość, kto przebaczył przeszłości! „Mściciela przeszłości“ pożera teraźniejszość — ten „sfinks jutra“...

Wy, młodolitwini, szczycicie się tem, że Litwa wydała Mickiewicza, Kościuszkę i wielu innych rycerzy wolności. Lecz czy chcieliście choć na chwilę zastanowić się nad pytaniem: po co Litwa wydała tych mężów? Ażali po to, abyście w ich imieniu

„krucyatę antypolską“ głosili? Ażali po to, żebyście ignorowali ich myśli wieszcze?

Odpowiedzcie! Wszak was o to pytam...

Józef A. Herbaczewski.

PO DWUDZIESTU LATACH.

(Garść wspomnień z dziejów odzyskania Górnego Śląska).

Było to dwadzieścia lat temu, w pierwszy dzień Zielonych Świąt roku 1890. Na dworcu krakowskim wielki tłum publiczności z Sokołami, Strażą pożarną i orkiestrą Harmonii, oraz z posłem śp. Ferdynandem Weiglem na czele, oczekiwał niczwykłych gości: Polaków górnośląskich.

Lud polski z Górnego Śląska i przedtem już często i licznie zjawiał się w Krakowie. Nie było świąt uroczystych, w których niebyłyby się snuły po ulicach podwawelskiego grodu mniejsze lub większe gromadki jędrnych, bardzo porządnie odzianych postaci chłopów i kobiet z pod Mysłowic, Bytomia, Opola i Raciborza; lecz spoglądano tu na nich niemal jeszcze, jak na obcych, a i oni sami pod niejednym względem obcymi się czuli w „sercu Polski“. Przybywali oni do Krakowa wyłącznie na nabożeństwa i kazania, a niemniej do konfesyonałów w kościołach krakowskich, a więc tylko w celach religijnych, bez porozumienia między sobą, każdy na własną rękę. Co tych ludzi, których przecie w ich stronach domowych nikt za ich praktyki religijne nie prześladował, którzy w swoich wsiach i miastach posiadali okazałe i piękne kościoły, dla których właśni ich duszpasterze odprawiali wszelkie nabożeństwa nieraz nawet umyślnie z pewną zewnętrzną pompatycznością — tak pociągało i wabiło do Krakowa, dlaczego nie zwracali się tam, gdzie rezydował własny ich biskup? Wielu z nich — większość nawet wówczas jeszcze nie zdawała sobie należycie sprawy z właściwych motywów tego pociągu wewnętrznego do polskiego Rzymu. Szli oni tam, bo „coś ich tam ciągło za serce“, „coś“, co nabożeństwa krakowskie czyniło im bliższemi, bardziej zrozumiałemi, głośniej do ich duszy przemawiającemi, stokroć milszemi, niż najwspanialsze ceremonie u siebie w domu. Że tą siłą atrakcyjną była — polskość krakowskich

nabożeństw, czysta mowa polska spływająca ku nim z chóru i z ambony, tego sami jeszcze przed sobą nie przyznawali, a może i nie rozumieli. Kochali oni swój język ojczysty, lecz jedynie siłą dziedzictwa, tradycyi i uczucia przyrodzonego — a nie jako główną cechę swej narodowości. Bo lud ten, mówiący po polsku, wówczas jeszcze nie czuł się polskim. Poczucie narodowe drgało w nim jedynie jako instynkt; instynktowo też tylko czuł on wielki pociąg do Krakowa, do tej silnie w jego murach i całem życiu tętniącej polskości, ale dążąc tu, na „stronę cesarską", nie miał świadomości, że dąży do macierzy, do braci. Zbyt silnie tkwił on wtedy jeszcze w pętach sztucznie mu wpojonego ducha pruskiego, iżby sam, bez zewnętrznych pobudek, mógł był wytworzyć w sobie taką świadomość. Zjawiał się więc w Krakowie jako „lud śląski polskiego języka" — a nie jako lud polski.

Tymczasem wycieczka czy pielgrzymka, oczekiwana w przedpołudniowych godzinach pierwszego dnia Zielonych Świąt owego roku w Krakowie, inny już miała charakter. Była to pierwsza, zorganizowana wycieczka górnośląska, przybywająca do „serca Polski" nie w celach religijnych — lecz narodowych. Dwoma pociągami nadzwyczajnymi spieszyli do Krakowa od Oświęcimia już nie „Ślązacy polskiego języka", lecz Polacy śląscy, i to odrazu w pokaźnej liczbie, bo przeszło 400 głów. Spieszyli tu nie po pociechy religijne, lecz dla wzmocnienia dopiero co w nich rozbudzonego słabego jeszcze i wątłego poczucia narodowego.

Przyznać trzeba, że stary Kraków dobrze odczuł i zrozumiał ważność tej chwili i tego faktu. Zgotował on tym tak długo zapomnianym braciom przyjęcie, które odrazu porwało ich za serce, na wieki już przykuło do polskości. Powitani na dworcu dźwiękami pieśni „Jeszcze Polska nie zginęła" i patryotyczną mową posła Weigla, ruszyli wśród gęstego szpaleru obsypującej ich kwiatami publiczności najprzód do kościoła Panny Maryi, gdzie ksiądz prałat Chotkowski wygłosił dla nich kazanie, stawiając tym prześladowanym za ich wierność dla języka ojczystego jako wzór przywiązanie Unitów do wiary — a następnie do sali ratusza krakowskiego, gdzie przemówił do nich ówczesny prezydent miasta śp. Szlachtowski. Dobrze dobrany komitet oprowadzał ich następnie po mieście, po pamiątkach narodowych, wieczorem zaś przemówił do nich ze sceny „Kościuszko pod Racławicami". Podczas tego przedstawienia nie brakowało ciekawych a znamiennych epizodów. Rozentuzyazmowani

patryotyczną tą sztuką uczestnicy wycieczki z pewnym niepokojem jednak zwracali się jeszcze do swoich przewodników z pytaniem, czy im, jako poddanym króla pruskiego, godzi się brać udział w tej apoteozie „polskiej rewolucyi, polskich kosynierów?“ Nie brakowało i takich, którzy wyszli z teatru pod wpływem wewnętrznej rozterki między rodzącem się u nich uczuciem patryotycznem, a wszczepioną w nich trucizną pruską.

Lecz wątpliwości ich stopniały i znikły pod naporem nowych potężnych wrażeń drugiego dnia świątecznego. W podziemiach Wieliczki porwał ich znów za serce ognisty napis na ścianie: „Witajcie bracia“ — a mowy, wygłoszone do nich na dworcu Gołuchowskiego, znalazły już zupełne zrozumienie i silny oddźwięk w ich duszach. Potem zaś nastąpił punkt kulminacyjny tych dwóch dni posiewu narodowego. Od ołtarza w kościele Franciszkanów przemówił do nich w stroju pontyfikalnym po raz pierwszy prawdziwy biskup p o l s k i i już desygnowany kardynał śp. ks. D u n a j e w s k i, a przemówił nietylko po polsku lecz i w duchu polskim. Już przy wejściu biskupa do świątyni rozrzewniające rozgrywały się sceny. A gdy z ust tego księcia Kościoła o postawie apostolskiej i apostolskiej wymowie, padły słowa nigdy jeszcze przez ten lud biedny i opuszczony z takich ust nie słyszane, rozrzewnienie zamieniło się na uniesienie. Z głośnym płaczem rzucili się ci polscy Heloci do nóg biskupa, całując jego szaty i ręce, ręce błogosławiące ich już nietylko na dalszą walkę życiową, lecz i n a r o d o w ą.

Po tym akcie wzniosłym, który wplotły do programu wycieczki usilne starania czcigodnego przeora Paulinów, ks. A m b r o ż e g o F e d e r o w i c z a, po kilku innych podobnie rozrzewniających momentach, np. w kościele Dominikanów, gdzie braciom odzyskanym dla macierzy polskiej dawał do pocałowania głowę ich ściślejszego patrona św. Jacka — ksiądz Ślązak, rodowity Raciborzanin O. K r u c z e k, sam płacząc z rozrzewnienia — nie było już wewnętrznych rozterek w duszy uczestników wycieczki. A reszty dopełniły dwa wspólne obiady z licznemi mowami, pobyt na kopcu Kościuszki i przyjęcie wieczorne w ogrodzie strzeleckim. I gdy w nocy dnia tego pociągi kolejowe wiozły wycieczkę z powrotem do Śląska, wiozły już czterystu zupełnie nawróconych, czterystu wyznawców, czterystu dzielnych agitatorów polskich.

* * *

Wycieczka ta doszła do skutku z inicyatywy Ślązaka, skromnego zecera w drukarni *Katolika* bytomskiego, Józefa Gallusa, lecz staraniem i pod przewodnictwem trzech wówczas na Górnym Śląsku działających polskich — czyli jak ich Niemcy nazywali — „wielkopolskich“ redaktorów: Bronisława Koraczewskiego, Adama Napieralskiego i autora niniejszych wspomnień — a głównie dzięki poprzedzającej ją blisko dwuletniej żywszej pracy narodowej w tej dzielnicy. W roku 1888 sprawa polska na Górnym Śląsku przedstawiała się bardzo smutnie. Po wydaleniu z tej dzielnicy przez ks. biskupa Koppa wydawcy i redaktora *Katolika* bytomskiego, księdza Radziejewskiego, pismo to redagowane było przez Ślązaków, akademików i kandydatów na księży, którzy sami nie posiadali wyrobionego poczucia narodowego, co więcej, sami nie umieli poprawnie pisać po polsku. Ówczesny *Katolik*, zafukany przez księży śląskich, niewolniczo liczący się z ich wolą i opinią, nie miał nawet odwagi nazywać Polaków Polakami, lecz używał stale terminu „Ślązacy“ — lub „katolicy polskiego języka“.

Pod koniec tego roku zjawił się na Śląsku młody wówczas, ledwie z pieluch gimnazyalnych wyrosły Bronisław Koraczewski z Poznańskiego, który przy pomocy rodowitych Ślązaków, małych rękodzielników i gospodarzy z Królewskiej Huty, zaczął tam wydawać *Głos ludu górnośląskiego* i to już w duchu szczerzej polskim. W tym samym mniejwięcej czasie objął redakcyę *Katolika*, liczącego wówczas podobno 7000 abonentów, niewiele starszy wiekiem — lecz o wyrobionych już poglądach i wielkim talencie pisarskim — znany dziś w całej Polsce Adam Napieralski; w marcu zaś r. 1889 zaczęły wychodzić w Raciborzu założone i wydawane przez rodowitego Ślązaka, dr. Józefa Rostka w Raciborzu, już śmiało polskie *Nowiny Raciborskie* — których redakcyę powierzono niżej podpisanemu. Bronisław Koraczewski wkrótce potem przeniósł się do Opola, gdzie założył wychodzącą po dziś dzień *Gazetę opolską*. I trzy te pisma — odrodzony *Katolik*, *Nowiny Raciborskie* i *Gazeta Opolska* rychło już w całej pełni stały się podwalinami narodowego odrodzenia prastarej tej polskiej dzielnicy.

Były to czasy, dla ludności pod panowaniem pruskiem już bardzo ciężkie, podwójnie zaś ciężkie dla „polskich Ślązaków“. Ówczesny pruski minister oświaty Gossler usuwał coraz bardziej język polski ze szkół ludowych i jeszcze w duchu „walki

kulturnej“ wywierał nacisk na wrocławską władzę duchowną w kierunku intenzywnej także z jej strony germanizacyi przez Kościół, nacisk, który zresztą w tych sferach znajdywał chętny posłuch. Dwa lata przedtem na rozkaz Gosslera władze uniwersyteckie we Wrocławiu rozwiązały istniejące tam polsko-górnośląskie towarzystwo młodzieży akademickiej, które miało być — w myśl swoich założycieli, szkołą narodową dla przyszłej rodzimej inteligencyi polskiej na Śląsku.

O towarzystwie tem zamieścił czasu swego w *Świecie Słowiańskim* bardzo zajmujące niejako archiwalne szczegóły prof. Karbowiak. Pozostaje atoli jeszcze — stwierdzić, jakie wydało ono praktyczne owoce. Otóż były one mniejsze, niż po owych dużo obiecujących początkach spodziewać się było można. Przedewszystkiem znamienny to dla stosunków tamtejszych fakt, że z jego członków pozostali Polakami wyłącznie tylko ci, którzy poświęcili się stanowi duchownemu, i to jeszcze nie wszyscy. Część bowiem później — dla tłustych prebend i widoków karyery — przylgnęła znów do niemczyzny, albo conajmniej stała się indyferentną w sprawach narodowych. Lecz wrocławska władza duchowna umiała też doskonale studzić i łamać narodowy zapał tych swoich podwładnych. Ma ona w swej dyecezyi parafie ubożuchne, których wierni rozrzuceni są na dalekiej przestrzeni w dwudziestu i więcej wsiach protestanckich, w których zatem praca duszpasterska jest pełna trudu i męki, a materyalnie mało donośną; ma dalej rozległą diasporę w niemieckich protestanckich stronach, sięgającą aż za Berlin i pod Bałtyk, gdzie kapłani w całem tego słowa znaczeniu są tylko prześladowanymi przez najrozmaitsze wrogie czynniki misyonarzami. Tam więc posyłałała ona chętnie tych młodych księży swoich, którzy zdradzali „wielkopolskie aspiracye“ — podczas gdy ci, którzy polskości się wyrzekli, rychło w swoich stronach otrzymywali dobre probostwa. Latami np. tułał się po tych kresach dyecezalnych jeden z założycieli polsko-górnośląskiego towarzystwa akademików, dzielny ks. Roman R.

Z tych członków rzeczonego towarzystwa, którzy obrali sobie świeckie zawody, z wyjątkiem dr. Józefa Rostka i dwóch czy trzech innych, wszyscy przepadli dla polskości, już to pod naciskiem walki o byt, lub pod wpływem małżeństwa z Niemką. I jeśli dziś jeszcze którykolwiek z nich czuje i myśli

po polsku, to ogranicza się z tem do zacisza własnej duszy — lecz w sprawach narodowych żadnego udziału nie bierze.

Praca owych trzech redaktorów polskich na Śląsku, którzy osiedlili się tam około roku 1889, była więc od początku niezmiernie trudną, tem trudniejszą, że pozbawioną wszelkiego poparcia, wszelkiej pomocy ze strony inteligencyi — bo tej nie było wcale.

Jak zaś w owym czasie przedstawiało się poczucie polskości u ludu? Określiliśmy to już na wstępie — lecz należy to uzupełnić jeszcze kilku innemi znamiennemi szczegółami. Na ogół biorąc mimo długoletniej poprzedniej pracy Karola Miarki i Józefa Lompy — lud śląski do narodowej łączności z narodem polskim jeszcze się nie poczuwał. Były nawet okolice, w których nazwa „Polak“ uchodziła jeszcze — w pojęciach tego nawskróś polskiego ludu — za obelgę! Bo tak go uczono w szkole, tak wychowywano z kazalnicy kościelnej! Ogromna większość duchowieństwa górnośląskiego wszelkiemi siłami pracowała nad tem, ażeby lud śląski uważał nadal braci swoich z Galicyi i Wielkopolski oraz z Królestwa za zupełnie odrębny naród. Jeszcze w roku 1887 proboszcz raciborski ks. dr. Schaffer zdobył się w wydanej przez siebie monografii tamtejszego bractwa Panny Maryi na tego rodzaju dziwoląg logiczny, że „der Unterschied zwischen polnischen und deutschen Schlesiern ist nur sprachlich — nicht national!“ Polaków z poza Śląska przedstawiano ludowi śląskiemu nietylko w szkołach ale i w kościele, jako niepoprawnych rewolucyonistów, którzy marzą tylko o rozbiciu królestwa pruskiego, jako bardzo złych katolików, nędzarzy pod względem ekonomicznym, niemal jako ludzi bez czci i wiary.

Wspaniały to wprost objaw żywotności ducha polskiego w ludzie polskim — że ta niegodziwa agitacya nie odniosła znaczniejszych sukcesów. Spaczyła ona pod wielu względami pojęcia polskiego ludu śląskiego, lecz owego drzemiącego na dnie jego duszy i serca instynktu polskiego, który go wiódł na nabożeństwa polskie do Krakowa — wyplenić nie zdołała. Co więcej — nie brakowało wśród niego jednostek, w których samorzutnie zupełnie zaczęło się już wtedy budzić także poczucie narodowe. Wypadków takich nawet dużo możnaby przytoczyć. Był np. w pobliżu Raciborza dzierżawca myta szosowego, niejaki O., który już przed pojawieniem się gazet narodowych polskich na Śląsku szukał — gdzie mógł — narodowej oświaty. Człowiek ten do-

wiedziawszy się przypadkowo, że w Krakowie wychodzi polska gazeta *Czas* — natychmiast ją sobie zaabonował i czytywał przez lat kilka mimo wysokiej wówczas jeszcze jego ceny abonamentowej. Inni sprowadzali sobie pisma ludowe z Poznańskiego i chciwie czytywali każdą książkę polską, która im wpadła w ręce.

Lecz były to w każdym razie jednostki, wyjątki wśród przeszło milionowej ludności polskiej tej dzielnicy. Ogół był jeszcze masą pod względem poczucia narodowego ciemną i bierną, w której dopiero święty ogień polskiego patryotyzmu rozniecić należało. Na ileż to zaś napotykało przeszkód! Pominąwszy już prześladowania i szykany rządowe — nawet tacy księża, którzy uchodzili za obrońców języka ojczystego polskiego ludu śląskiego, za rzeczników jego praw przyrodzonych, np. taki ksiądz Rudolf Engel w Wierzchu, — oburzali się na nas redaktorów, gdy o Polakach z Wielkopolski, z za kordonu lub z Galicyi mówiliśmy i pisaliśmy jako o braciach ludu śląskiego. „Nazywajcie braćmi wszystkich Słowian — wołał ks. Engel — nawet Moskali — tylko nie innych Polaków“.

Byłoż to osobistem uprzedzeniem — lub też wynikającym z braku poczucia narodowego fałszywym poglądem na faktyczny stan rzeczy?

O jednem jeszcze wspomnieć wypada. Wśród ówczesnej inteligencyi śląskiej, składającej się wyłącznie z nielicznych wychowańców i członków wspomnianego stowarzyszenia akademickiego we Wrocławiu, silniej nawet od poczucia polskiego rozpowszechnione było poczucie słowiańskie. Rosya w szczególności cieszyła się w oczach tej młodzieży wielkiemi sympatyami, jako przedmurze słowiańskie przeciwko Niemcom. W gruncie rzeczy nie było w tem nic dziwnego! Ta garstka młodych ludzi, synów ludu, który sam nie znał drzemiącej w nim wielkiej narodowej i politycznej siły, nie mogła absolutnie uwierzyć, iżby naród polski sam, rozbity i gnębiony, mógł się ostać wobec kolosalnej przewagi żywiołu germańskiego i niemieckiego państwa; nie mogła uwierzyć w moralną potęgę swego narodu — bo jej nie znała. Oglądała się więc na to państwo słowiańskie, które w jej oczach reprezentowało jeszcze zbliżoną do niemieckiej siłę materyalną i fizyczną i od niego wyczekiwała pomocy. A gdy nadzieje owe zawiodły — młodzież ta traciła przeważnie wiarę w możli-

wość oporu przeciwko potędze germańskiej, tonęła w jej zachłannych objęciach.

* * *

Na tle takiego „milieu“ narodowego i politycznego doszła do skutku owa pierwsza narodowa wycieczka z Górnego Śląska do Krakowa. W życiu przeszło milionowego odłamu ludu polskiego fakt to na pozór małej wagi — a jednak był bardzo doniosłym w skutkach. Wiadomość o przyjęciach w Krakowie, o słyszanych tam mowach, o apostolskich słowach kardynała polskiego — szeroko rozeszła się po całym Śląsku i przeciwdziałała skutecznie truciźnie pruskiej. Był to pierwszy wyłom w „murze chińskim“, którym lud polski na Śląsku odgraniczono sztucznie od reszty narodu polskiego, w murze uprzedzeń i fałszywych pojęć.

Odtąd rok rocznie niemal gród podwawelski gości w swoich murach mniej lub więcej liczne wycieczki i pielgrzymki narodowe z Górnego Śląska. Nie budzą one już większego zajęcia, bo ci, którzy stamtąd do nas przybywają, nie różnią się już od nas ani poczuciem narodowem, ani dążnościami narodowo-politycznemi. W ciągu tych lat dwudziestu dokonał się w usposobieniu i uczuciach ludu polskiego na Śląsku przewrot wprost olbrzymi. Lud ten wybiera dziś polskich posłów do parlamentu niemieckiego i sejmu pruskiego, dumnie wyznaje swoją narodowość polską i bohatersko jej broni, znosząc dla niej nawet ciężkie prześladowania i cierpienia. Odrodzenie narodowe postąpiło tam już nawet dalej, niż na Śląsku Cieszyńskiem — i to bez szkół, bez pomocy całej niemal Polski. Dziś po dokonaniu tak cudownego dzieła, warto wspomnieć o fakcie, który dzieło to w pewnej mierze zapoczątkował, a conajmniej był pierwszym punktem świetlnym na szarej, ciężkiej drodze pracy nad odzyskaniem milionowego odłamu polskiego narodu, nad wyrwaniem go ze szponów teutońskich.

J. K. Maćkowski.

SŁOWIANOFILSTWO W AMERYCE.

Z głębokiem zajęciem od chwili wylądowania mego w N. Yorku, śledzę i przyglądam się wszelkim objawom życia Słowian w Ameryce. Pierwsze, realne objawy tego poczynającego się zbliżenia Słowian ukazały mi się istotnie w tym olbrzymiem morzu wielojęzycznego, obcego życia, z którego huczącej, groźnej i chłodnej toni wynurzały się to tu, to tam wysepki słowiańskie, nikłe, zatracone jakby, niepewne i ciche, wszelako już na powierzchnię wypływające świadomie, nieraz dość mocno. Z życia tu Słowian rozmaitych bezsprzecznie najsilniej konsolidującą się i określoną narodową grupę stanowią Polacy, najliczniej tu i bodaj najdawniej zamieszkali. Mimo rozrzucenia po dzielnicach rozmaitych, wytworzyli już pewne centra swego życia, posiedli też dość silną prasę, za pomocą której organizują się coraz bardziej w jedną spoistą, odrębną całość.

Nerwem, poruszającym dziś myśli wszystkich Polaków w Ameryce jest obchód grunwaldzki. W kierunku inicyatywy i czynionych przygotowań kolonia polska w N. Yorku wyprzedziła wszystkie inne stany. Uwagi zwłaszcza jest godną pierwszy raz podniesiona tu myśl nadania obchodowi charakteru słowiańskiego. Myśl ta poruszoną została przez polskie Sokolstwo, i wprowadzona w życie -- nie bez walki — wytrwale z szerokiem zrozumieniem rzeczy.

Utworzony w tym kierunku Komitet obchodu zwrócił się z zaproszeniem do wspólnej akcyi do Czechów, Rusinów, Słowaków, Litwinów i innych. Czesi najchętniej myśl poparli, Litwini się przychylili, najtrudniej było z Rusinami, ponieważ podzieleni są na liczne, walczące ze sobą obozy — dodać jednak trzeba, że zasadniczo wrogo przeciwko Polakom nie są usposobieni. W końcu i z nimi doszło się do ładu i obecnie jest jeden łączny i zgodnie działający komitet obchodu Grunwaldu. Wszak N. York w miniaturze ma wszystkie niemal narody ziemi, a co do Słowian, rękę tylko wyciągnąć, a są tu oni wszyscy, rozdzieleni dzielnicami zaledwo. Tak więc przygotowania obchodu rozpoczęły sie najprzód w N. Yorku, wtedy jeszcze, gdy w innych Stanach było o tem cicho. Chicago, stolica „czwartej polskiej dzielnicy“, miało co prawda dość dawno utworzony komitet, ale właściwa jego działalność rozpoczęła się nie zbyt dawno zwołaniem wstępnych narad.

Chcąc wiedzieć, jakie stosunki panują tu pomiędzy Słowianami, udałam się do biura Ligi słowiańskiej, której wydaną dwa lata temu jednodniówkę miałam w ręku. Jak się okazało z wyjaśnień, ta tak szumnie nazwana „Liga słowiańska“ może być tytułem dla przyszłości, lecz na chwilę bieżącą liczy po kilka jednostek narodowości rozmaitej, ożywionych jak najlepszą wolą, oddanych idei, lecz jest to obecnie skromne i wątłe początkowanie zaledwo. Mimo to redagowane jest pismo *Slovan*, jako organ Ligi, oparty na akcyach, które dają prawo narodowości każdej mieć pewną ilość szpalt, drukowanych we własnym języku, za pewną ilość wykupionych udziałów. I tak: jest już dział czeski — naczelny, dalej słowieński, chorwacki; — polskiego niema, bo akcyi polskiej niewpłacono, również niema jeszcze działu serbskiego, bułgarskiego, gdyż kirylica utrudnia tę sprawę. Redaktor *Slovana* — p. Arnold Križan, Słowieniec, gorąco oddany idei, — chętnie bardzo drukuje o rzeczach polskich, a pogląd na stosunki w Europie ma jasny i słuszny. Artykuł mój, drukowany w *Dzienniku Związkowym* — „Grunwald, uroczystość słowiańska“ — bardno chętnie streścił, omówił obchód i nawoływał do poparcia go przez wszystkich Słowian w Chicago.

Znanym też oddawna i czynnym pracownikiem na polu słowianofilstwa w Ameryce jest p. E. Bachman, przedtem redaktor długoletni pisma czeskiego, który stworzył Kółko działaczy słowiańskich, ściśle ze sobą zespolone, a organizujące wspólnemi siłami wszelkie zbiorowe obchody i manifestacye. Pierwszym takim — na wielką skalę — obchodem słowiańskim w Ameryce był „česky den“, w roku 1893, podczas wystawy w Chicago. Wzięli w nim udział wszyscy mieszkający w Chicago Słowianie, Czesi, Słowacy, Serbowie, Bułgarzy, Chorwaci, prócz tylko Polaków i Rosyan, chociaż co do tych ostatnich, sądzę, iż w owym czasie jeszcze tu grupą zorganizowaną nie byli, gdyż teraz dopiero praca w tym kierunku u nich się rozpoczyna. Polacy jednak — jak mię objaśniano z goryczą — usuwają się tu od solidarności słowiańskiej stale i świadomie. Nic dziwnego; były to lata, gdy prądy słowiańskie w kraju popularnością bynajmniej nie cieszyły się, a bicz moskiewski wrażał nam je w ciało zbyt dotkliwie. Dziś jednak winno być co innego; dużo upłynęło wody, dużo się wyjaśniło. A chodzi Słowianom bardzo o łą-

czność z Polakami, którzy stają się siłą liczebną, a powoli i kulturalną.

Chicago liczy 300 tys. Polaków, dużo pism polskich, organizacyi, stowarzyszeń. Życie polskie z dniem każdym rośnie i wzmaga się; załatwione najpilniejsze potrzeby życia tego, sądzę, iż pozwolą społeczeństwu wychylić się na arenę spraw szerszych, ogólnych. Znać już idące w tym kierunku prądy, a manifestacya grunwaldzka być może stanie się tu tym punktem zwrotnym dla szerszych objawów polskiego życia i ducha.

Dotychczas perwszą pobudką i czynnikiem rodzącej się tu solidarności słowiańskiej była potrzeba. Tak — nie idea rozumowana, nie nawoływanie świadome, ale narzucająca się siłą faktów i rzeczy — potrzeba. W obcym, chłodnym żywiole nieznanego życia — bezradne, osamotnione jednostki szczepów rozmaitych mimowoli odczuwały większą bliskość i łączność z żywiołem słowiańskim, mówiącym podobnym językiem, pokrewnym przeszłością, tradycyą, kulturą bardziej swojską i znaną, niż amerykańska. Popieranie się wzajemne i łączenie przyszły więc, jako konieczność; zwłaszcza przy wystąpieniach narodowych narzucała się potrzeba akcyi wspólnej.

Teraz stanął przed Polakami Grunwald, z całą świetnością swej tradycyi. Na zgromadzeniu, zwołanem w sprawie obchodu, złożonem z przedstawicieli pism, organizacyi, z delegatów parafii i stowarzyszeń, stawili się też i delegaci Słowian, Czechów, Słowaków, Serbów, Chorwatów. Na tle dyskusyi, czy obchód ma być czysto-polskim, czy też słowiańskim, zarysowały się przemówienia pp. Bachmana i Križana bardzo sympatycznie i szeroko, wnosząc odrazu ton serdeczny i podniosły, co wpłynęło dodatnio na obecnych. Większością głosów zapadła decyzya, iż uroczystość grunwaldzka ma być wszechsłowiańską, a do komitetu wybranego wejdą delegaci słowiańscy. Jest to pierwsza akcya polska w duchu słowiańskim w Ameryce. Jakiemi drogami początkowanie to pójdzie, czy rozwinie się z zawiązka w rezultat jakiś stały, a pewny, przewidzieć trudno. Zaznaczyć jednak trzeba, że życie tu samo pcha Słowian do porozumienia i solidarności, że szeregując ich, jako gromady rozprószone i biedne, poważne wpływy i znaczenie rokuje im, przy organizacyi czynnej a licznej. W świadomości amerykańskiej już świta przeczucie wielkiej rosnącej siły Słowian i konieczność

zaciążenia ich na szali przyszłości kraju — toteż zwracają uwagę czujną a baczną w tym kierunku.

Ciekawem jest a znamiennem stanowisko Rosyan tu, na gruncie wolnej Ameryki. W N. Yorku tworzą oni dość liczną, bo 50 tys. liczącą kolonię, która jednak w ostatnich latach dopiero organizuje rozprószone swe życie. Powstają kluby, stowarzyszenia, uniwersytet ludowy, oraz dwa pisma, walczące ze ze sobą zajadle. Oba socyalistyczne — jedno zabarwione skrajnie, drugie konstytucyjnie. Gdy w rozmowie z redaktorem pierwszego, ludowcem, skazanym na karę śmierci w ojczyźnie, nadmieniłam o porozumieniu Słowian, zawołał żywo: „My na to czasu nie mamy — dużo pilniejszych spraw — zresztą, i po co?“ Najlepiej, gdy się wynarodowimy i zlejemy. Trzeba tylko oświecić te ciemne masy, by się do tej kultury nadały — ot“. Naturalnie, wobec takiego postawienia kwestyi upadła rzecz odrazu. Chcąc jednak zgłębić ducha rosyjskiego tu na tym gruncie, wysłałam list do redaktora gazety o barwie konstytucyjnej, zapytując, dlaczego też Rosyanie nie łączą się ze Słowianami w akcyi wspólnej i czemu przypisać ich odosobnienie? List został, jak prosiłam, wydrukowany. Dotychczas — milczenie; żaden głos ze strony rosyjskiej nie wypowiada się w tej drażliwej sprawie. Piszę dalej, informując ich o przebiegu sprawy obchodu, usiłując w ten sposób unaocznić ją ich pamięci, lecz solidarność słowiańska Rosyan nie daje znaku życia. Probierzem ciekawym może być to całe zachowanie się grupy narodowej, wyrzuconej z kraju rodzinnego prześladowaniem, zbuntowanej przeciwko caratowi, a jednak dzielącej wstręty jego i uzurpacye zaborcze. Zobaczymy — czas pokaże.

Taki jest stan obecny słowianofilstwa na gruncie wolnej ziemi, gdzie każde dążenie i początkowanie ma szerokie i nieograniczone pole ziszczenia się i realizacyi w życiu, zawarunkowane jedynie siłą pędu wewnętrznego i świadomego głębokiego odczucia.

Stefania Laudynowa.

Z CZESKO-POLSKICH GRZECHÓW PUBLICYSTYCZNYCH.

Na dziennikarstwie słowiańskiem ciążą obowiązki zawilsze i cięższe, niż na niemieckiem lub francuskiem. U narodów nie posiadających własnego rządu wszelka samopomoc społeczna nabiera podwójnej wagi; tak też odpowiedzialność publicystyczna staje się bez porównania większą.

Ogrom odpowiedzialności przepływa niespostrzeżony nad głowami za słabemi do udźwignięcia jej.

Przykładów możnaby przytaczać przez cały rok bez końca, ale cóż polemika poradzi?

Wyjątkowo może się ona zdać na coś; z reguły sprowadza tylko jeszcze większy upór w błędach. Zło warto wytykać wtedy, gdy się przypuszcza, że znajdą się osoby, chcące je usunąć.

Przypuszczamy, że zachodzi ten wypadek we wzajemnych relacyach prasy polskiej a czeskiej. Mają one sobie wzajemnie niejedno do zarzucenia. Z ścisłego wzajemnego porachunku wyszłaby obronną ręką w każdym razie prasa polska. Nigdy żaden polski dziennnik nie był za germanizacyą, za wykluczeniem języka czeskiego ze szkół i urzędów! Dajmy jednak pokój temu, co było, jakkolwiek ślady pozostały jeszcze. Ograniczając się do chwili obecnej, widzimy, że dziennikarstwo polskie zajmuje się bez porównania bardziej sprawami czeskiemi, niż czeskie naszemi; wartość naszych informacyj o Czechach jest znacznie wyższą od wzajemnych o Polsce. Najbardziej zaś znamiennem jest i najlepiej świadczy o prasie polskiej to, że u nas interesuje się dziennikarstwo całym rozłogiem czeskiego życia publicznego, podczas gdy Czesi zwykli dotykać spraw polskich z reguły wtedy tylko, gdy jakaś „aktualność“ złączy je bezpośrednio z czeskiemi, a poza tem chyba natenczas, gdy zachodzi coś tak głośnego, że nawet hiszpańskie gazety muszą o tem pisywać. I wtenczas jednak poświęca prasa czeska sprawie polskiej uwagi znacznie mniej, niż francuska, a może i mniej, niż włoska.

Popełnia więc prasa czeska względem Polski grzech zaniedbania.

Tem gorzej, skoro — pisząc o Polsce niewiele — szerzy o niej po większej części mylne informacye. Wynika stąd szkoda dla Czechów, bo przez to trudniej oryentować im się w sprawie

słowiańskiej, a im bardziej ona ich pochłania, tem więcej sił tracą w swych słowiańskich zabiegach, nie osiągając należytych wyników. Z fałszywych informacyi musi wypływać nieuchronnie fałszywa oryentacya polityczna. Zdaje się, że i w Austryi oszczędziliby sobie Czesi wielu zawodów i skróciliby sobie znacznie drogę do celu, gdyby posiadali należyte wiadomości o Polakach! Krytykując na ślepo politykę polską, znaną sobie tylko powierzchownie, z zewnętrznych objawów, Polaków drażnią, a sobie nietylko nie pomagają, lecz szkodzą, nie mogąc, bo nie umiejąc wynaleźć wspólnej drogi. Dziennikarstwo czeskie lubi pokrywać silnemi frazesami brak znawstwa przedmiotu, a gdy już z czemś absolutnie nie może sobie dać rady i całkiem czegoś nie rozumie, ma zawsze wygodne wyjście, wołając, że ktoś zdradza Słowiańszczyznę. Sprawy i Wasze i nasze nie od „zdrajców“ jednak cierpią, lecz od ignorantów.

Minęły już dawno czasy, kiedy polski dziennikarz sięgał do *Neue freie Presse*, żeby się dowiedzieć, co się dzieje w Pradze — ale *Narodni Listy* uważają jeszcze wciąż za dogodne źródło do informacyi o sprawach polskich — *Nowoje Wremia*.

Tak postępowano podczas debat w Dumie o kościele opolskim, tak się robi w sprawie maryawityzmu. A ten stan rzeczy stanowi już postęp, bo dawniej *Nowoje Wremia* było dla *Nar. Listów* wyrocznią we wszystkich sprawach polskich. Teraz nastąpił pewnego rodzaju kompromis między dawnym a nowym porządkiem w redakcyi głównego dziennika czeskiego. W sprawach czysto politycznych i językowych idzie się z Polakami przeciw *Now. Wremieniu*, a w sprawach kościelnych z czynowniczą „reptilią“ przeciw Polakom.

Była taka chwila, że kiedy z polskiej strony wytknięto *Nar. Listom* to opieranie się na najkłamliwszem z pism rosyjskich, odpowiedziano na to, że chyba przyjdzie nie pisać całkiem o Polakach! Miejmy nadzieję, że minął już ten okres lenistwa, w którym uważało się za przeciążenie, żeby przeglądać pisma warszawskie i że *Nar. Listy* znajdą kogoś, gotowego się poświęcić i obarczyć tą pracą. A wtenczas ustanie wiele powodów do kwasów, a te dzienniki polskie, na które Czesi mogą wyrzekać, będą miały wytrąconą broń z ręki.

W ciągu kwietnia wydarzyła się rzecz bardzo przykra. W 114 *Narodnich Listów* pojawił się artykuł „Opolský ko-

stel na Cholmské Rusi", który przytaczamy tu dosłownie.

„Katolicka gmina opolska wysłała z pośród siebie rolnika Krawczuka do Petersburga, żeby się porozumiał z prezydentem ministrów Stołypinem w sprawie kościoła opolskiego. Krawczuk był u Stołypina zeszłej soboty. Stołypin wyjaśnił mu, że rząd nie chce bynajmniej ograniczać wolności religijnej Polaków katolików i że już dawniej zaproponował katolickiej gminie opolskiej 18.000 rubli na wystawienie kościoła nowego i lepszego, niż ten, o który spór się wiedzie. Krawczuk nic o tem nie wiedział, co jest dowodem, że ci panowie, którzy przygotowywali sprawę kościoła opolskiego przed forum Dumy państwowej, przemilczeli umyślnie o tej okoliczności mieszkańcom Opola. Krawczuk nie chciał wierzyć własnym uszom i pytał się prezydenta ministrów, czy naprawdę dostaną te pieniądze. Stołypin zapewnił go, że tak — i że pieniądze wypłaci dozorowi kościelnemu w trzech ratach. Nadto oznajmił mu, że rząd wydał już co do tego rozkazy kancelaryi warszawskiego jenerał-gubernatora. Krawczuk jeszcze nie zupełnie dawał wiarę i zajechał do Warszawy, żeby się przepytać w kancelaryi jenerał-gubernatora, czy to prawda, co mu Stołypin powiedział. Kiedy się przekonał, że to prawda, wyszukał architekta Dziekońskiego i zamówił u niego plany nowego kościoła opolskiego".

Zbyt oddaleni od miejsca sporu, żeby sprawdzić fakty, a chcąc wydobyć na wierzch całą prawdę, zwróciliśmy uwagę na ten artykuł kilku dziennikom polskim; jakoż przedrukowała go cała niemal nasza prasa, oczekując wyjaśnienia z Warszawy. Nie trzeba było na nie długo czekać. Niemal natychmiast pojawiła się krótka, ale stanowcza odprawa w *Gazecie Warszawskiej*[1]) Po kilku dniach podało *Słowo* wyjaśnienie obszerniejsze, które pro rei memoria zapisujemy tu, na pamiątkę, jak lekkomyślnie traktuje się w głównym dzienniku czeskim informacye o sprawach polskich, z jaką zaciętością pielęgnuje się tam nadal zastarzały zwyczaj, żeby szukać pouczenia w źródłach à la *Nowoje Wremia.*

Słowo zamieściło tedy w Nrze 208 następujący artykuł p. t.: „Ośmnaście tysięcy rubli dawane przez

[1]) Wiemy, że numer ten posłano zaraz do redakcyi *Nar. Listów*, w tej myśli, że nastąpi odwołanie mylnej informacyi.

rząd na kościół w Opolu. Informacye bezpośrednie".

„Sprawa opolska ma więc już i epilog. Rząd odmówił owych ośmnastu tysięcy rubli, które ofiarował na wybudowanie kościoła katolickiego w Opolu, w formie pewnego skrupułu przy zabraniu starego i oddaniu go cerkwi prawosławnej.

„Niedawno właśnie o tej sprawie pisały *Narodni Listy*. Pisały zaś w sposób dla polskiego czytelnika wysoce niemiły. Według relacyi czeskiego dziennika rząd jest gotów dać parafianom opolskim ośmnaście tysięcy na kościół, o czem delegat parafian opolskich, Krawczuk, dowiedział się dopiero — w urzędach petersburskich.

„I bardzo się tej łaskawości zdziwił i ucieszył — jak donosi petersburski korespondent *Narodnich Listów*.

„To poczytne pismo młodoczeskie stało się obecnie organem dra Kramařa, który, jak wiemy, pełen jest najlepszej woli we wszystkich sprawach, Słowiańszczyzny dotyczących, ale pozostawił w ziemiach słowiańskich dawnych korespondentów, zwłaszcza w Petersburgu i ci wypisują czasem o Polakach rzeczy dość dziwne.

„W każdym razie, po zdziwieniu Krawczuka, przyszła teraz, jak mniemać wolno, kolej na zdziwienie redaktora *Narodnich Listów*.

„Czy Krawczuk w istocie nie wiedział jednak, że w swoim czasie rząd gotów był dać ośmnaście tysięcy na nowy kościół w Opolu?

„Udaliśmy się w tej sprawie do p. Lubomira Dymszy, posła siedleckiego, bawiącego przez wakacye obecne parlamentarne, wczoraj właśnie skończone, w Warszawie i ten łaskawie udzielił nam wiadomości, w obecnej chwili szczególnej cennych.

„— *Narodni Listy* napisały w każdym razie kłamstwo — rzekł nam.

„I p. Dymsza przypomina, jak stała aż do ostatnich czasów sprawa opolska.

„— Jednocześnie z przygotowującą się interpelacyą w Dumie, szły pewne pertraktacye z wyższymi organami administracyi, które prowadziły je, chcąc za wszelką cenę — oprócz ceny sprawiedliwej — uniknąć debatów nad tą sprawą w plenum parlamentarnem. Wtedy to rząd uczynił propozycyę jednemu z człon-

ków Koła Polskiego (było to w 1908 roku), iż zgodzi się wypłacić Opolanom ośmnaście tysięcy rubli w trzech ratach po sześć tysięcy, za które to pieniądze wystawićby można kościół „piękniejszy nawet od zabranego“. Koło Polskie, zachowując należyte ostrożności, zażądało, aby ta propozycya została zrobiona Opolanom w drodze urzędowej. Uważało ono, iż jest obrońcą słusznej sprawy, lecz że ostatnie słowo należy do parafian opolskich w sposób formalny. Przyczem interpelacyi bynajmniej nie cofnęło. Otóż propozycya wspomniana została w istocie zrobiona w sposób urzędowy Opolanom przez kancelaryę generał-gubernatora. I na tę urzędową propozycyę parafianie opolscy odpowiedzieli w urzędowy sposób również — odmownie.

„— Aby znaleźć potwierdzenie tego w dokumentach — mówił nam p. Dymsza — nie trzeba się nawet uciekać do papierów urzędowych, które cyrkulowały pomiędzy Petersburgiem, Warszawą a Opolem. Wystarczy przypomnieć sobie mowę, jaką miał w Dumie podczas interpelacyi opolskiej p. Charuzin, dyrektor departamentu wyznań obcych. Powiedział on wyraźnie właśnie o propozycyi formalnie zrobionej przez rząd Opolanom — i zaznaczył, że ta propozycya nie została przyjęta „po nieizwiestnym priczynam“. Mówić więc, że Opolanie nic o tem wszystkiem nie wiedzieli, jest nieprawdą.

„Korespondent *Narodnich Listów* poszedł więc daleko, jak widzimy, a z pewnością dalej, aniżeli pragnął; jego wiadomość bowiem zwraca się ostatecznie nie przeciwko insynuowanym intrygom polskich mężów, prowadzących politykę w Petersburgu, ale przeciwko organom rządu, których świadectwo publiczne *Narodni Listy* kwestyonują swojemi petersburskiemi informacyami.

„Należy jednak dodać, że sprawa dania przez rząd na nowy kościół w Opolu była w zawieszeniu dotychczas.

„Parafianie ofertę rządu odrzucili, to prawda.

„Ale naprzód, mieli oni nadzieję, że po interpelacyi kościół zostanie im zwrócony, i obawiali się wyrazić zgodę na przyjęcie pieniędzy od rządu, bo ten fakt zostałby bez żadnej wątpliwości wyzyskany w Dumie, zwrócony przeciwko interpelantom i wytłumaczony, jako skwitowanie z praw. Któż zechce ich przekonywać, że rozumowali mylnie?

„Pozatem zaszedł nowy fakt, który sytuacyę całą w pewnej mierze zmienia. Gdy sprawa opolska została ostatecznie prze-

graną, pani Mężyńska, właścicielka Opola, ofiarowała grunt bezpłatnie pod nowy kościół.

„Wobec tych dwóch względów parafianie Opola zdecydowali się pieniądze, im proponowane obecnie przyjąć.

„— Ponieważ Duma — mówi p. Dymsza — odrzuciła interpelacyę opolską z powodów politycznych, a nie dlatego, żeby sprawa opolska nie była sprawą sprawiedliwości, można było mniemać, że rząd dotrzyma tego, co obiecał i owe ośmnaście tysięcy wyasygnuje.

„Wprawdzie Krawczuk w urzędzie, zajmującym się „wyznaniami obcemi“ doznał stanowczej odmowy — co podnosi prawdziwość i pewność(!) petersburskich informacyj *Narodnich Listów* — ale polscy politycy rozjechali się na wielkanocne wakacye z wrażeniem, że ta sprawa zostanie załatwioną w ten sposób, iż rząd, kierując się tu nie chęcią odwetu, lecz dawnym skrupułem, bądźcobądź mającym pewien walor moralny, zechce słowa, raz danego, dotrzymać, pomimo aż nadto zrozumiałego i usprawiedliwionego oporu dawnego Opolan. Jeden z polskich członków Rady Państwa miał sposobność rozmawiać z wysokim mężem stanu, od którego decyzyi ta sprawa zależała, i po rozmowie uważał za możliwe rozpowszechnić wśród Polaków wiadomość poufną, że słowo będzie dotrzymane.

„Ostatecznie jednak, jak widzimy, przemówiły inne względy“.

Tyle artykuł *Słowa*, ogłoszony 10 maja.

Po dziesięciu dniach *Nar. Listy* skorzystały z tego wywyjaśnienia w sposób następujący:

Jako odpowiedź i wyjaśnienie pojawił się w numerze 137 z 20 maja artykulik p. t. „O kostel w Opoli“, który przytaczamy także dosłownie:

„Pisma polskie ignorowały najpierw naszą wiadomość o audyencyi delegata opolskiego, rolnika Krawczuka u prezydenta ministrów Stołypina, który oznajmił mu, że rząd przedtem już ofiarował i że da katolikom opolskim 18.000 rubli na nowy kościół; kiedy wytknął im (pismom polskim) to *Dziennik Poznański*, starały się oznaczyć wiadomość naszą jako „fałszywe przedstawienie rzeczy“, przyczem atoli potwierdziły jej prawdziwość, dopełniając ją tylko szczegółem, którego nie zawierała. To jednak nie jest fałszywem przedstawieniem rzeczy.

„Warszawskie *Słowo* ogłasza w sprawie kościoła opolskiego rozmowę z polskim posłem Ludomirem Dymszą, który

potwierdził, że podana kwota była Opolanom ofiarowana przez rząd jeszcze przed interpelacyą w Dumie państwowej, ale Opolanie odrzucili propozycyę, tusząc, że po interpelacyi kościół będzie im powrócony, a nadto nie chcieli, żeby interpelacya odpadła. Gdy zaś Duma odrzuciła interpelacyę, właścicielka Opola, pani Mężyńska, ofiarowała bezpłatnie grunt pod nowy kościół, poczem polscy Opolanie zdecydowali się przyjąć ofiarowane pieniądze.

„W końcu atoli rozstrzygnęły podobno inne względy i rząd odmówił dać na kościół opolski proponowane pieniądze.

„Tych „innych względów“ poseł Dymsza nie oznaczył bliżej“.

Jeżeli notatka ta ma być załatwieniem kwestyi — powiedzmy otwarcie, że ten sposób załatwienia jej nie budzi w nas szacunku dla *Nar. Listów.*

Chodzi o to, że *Nar. Listy* przedstawiły całą sprawę w ten sposób, iż z pierwotnego ich doniesienia wynikało, jakoby polscy politycy zataili przed Opolanami, że mogą otrzymać 18.000 rubli, że Krawczuk dowiedział się o tem dopiero w Petersburgu. W tem tkwi istota grzechu, popełnionego przez *Nar. Listy* i na tem polega „fałszywe przedstawienie“. Redakcya nietylko tego nie prostuje, lecz daje do zrozumienia, że tak jednak było w istocie i że przyłapała Polaków na gorącym uczynku, toteż „pisma polskie ignorowały najpierw naszą wiadomość“ — zapewnie zawstydzone. Takie wrażenie ma odnieść czytelnik z całej notatki.

Taka metoda publicystyczna jest krętactwem. Używały jej *Nar. Listy* przez tyle lat względem nas, że jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Mniemaliśmy, że zmieni się to, skoro duchowym kierownikiem pisma jest Dr. Kramář. Jeżeli czeka nas zawód, wypadnie nam wysnuć z tego odpowiednie wnioski.

Twierdzenie, jakoby pisma polskie były ignorowały wiadomość, otrzymaną via *Nar. Listy,* ma podkreślić powagę informacyj dziennika, który miewa takie wiadomości w sprawach rosyjsko-polskich, że sami Polacy bywają niemi zaskoczeni, a w końcu muszą „potwierdzić ich prawdziwość“.

My twierdzimy zaś z całą stanowczością, że wiadomości *Nar. Listów* w tych sprawach są niemal zawsze błędne, że dziennik ten informuje czeską publiczność fałszywie. Zastrzegamy się zaś z całą stanowczością przeciw temu, żebyśmy mieli odbierać

z Petersburga via Praga wiadomości o tem, co się u nas dzieje. Stosowniejszem zdaje się będzie, jeżeli *Nar. Listy* zechcą się o tem informować u nas — podobnie jak my z czeskich pism (a nie z niemieckich w Czechach wychodzących) informujemy się o interesach narodowych czeskich.

Na dobitkę twierdzenie, jakoby pisma polskie ignorowały były artykuł *Nar. Listów*, jest kłamstwem. Powtórzyły go zaraz nietylko *Dziennik Poznański*, ale *Kuryer Poznański*, *Słowo*, *Gazeta Warszawska*, *Dziennik Kijowski*, a potem jeszcze inne.

Nieprawdą jest, jakoby *Dziennik Poznański* wytknął im był to ignorowanie i dopiero skutkiem tego inne pisma zarzuciły *Nar. Listom* fałszywe przedstawienie rzeczy.

Dziennik Poznański dodał wówczas uwagę całkiem innego rodzaju! Zwrócił mianowicie uwagę, że *Nar. Listy* nie podają źródła swej wiadomości, a więc pisma warszawskie powinnyby się ich zapytać, czy biorą ją na swoją odpowiedzialność?

Tych „innych względów", które sprawiły, że nie dano owych 18.000 rubli, nie potrzebował poseł Dymsza oznaczyć bliżej, bo zna je każde dziecko. Czyżby redaktorowie *Nar. Listów* nie wiedzieli, że chodzi o gnębienie Polaków i katolicyzmu?

Co zrobiły *Nar. Listy* z artykułem *Słowa*, co z niego podały i w jaki sposób podały, a co zataiły, to rzuca się samo w oczy i nie wymaga komentarza.

Chcemy tylko zwrócić jeszcze uwagę na słówko „podobno" („pry"), znajdujące się w przedostatniej alinei drugiego artykułu *Nar. Listów* i zapytujemy:

Jakiem prawem podaje organ Dra Kramářa w wątpliwość prawdomówność posła Dymszy?

Doprawdy, prasa warszawska powinnaby zadać teraz jeszcze dalsze pytanie, a mianowicie:

Czy Dr. Kramář przyjmuje odpowiedzialność za metodę publicystyczną *Nar. Listów?*

Czem tę metodę tłumaczyć? Wszak każda czynność świadoma musi mieć jakiś cel. Jakiż mają w tem cel *Nar. Listy*, żeby w najdrażliwszej dla Polaków sprawie szerzyć fałsze, a prawdę zatajać?

W tym samym czasie wydarzyło się *Nar. Listom*, że rzucił się na nie szereg dzienników czeskich za nadmiar polonofilizmu, za słabość okazywaną Polakom w sporze śląskim. Równocześnie

więc wyrządzały *Nar. Listy* przykrość i krzywdę Polakom i same doznały krzywdy i przykrości o Polaków.

We Frysztacie w Cieszyńskiem wychodzi pisemko *Głos ludu śląskiego*, wydawane przez p. Friedla. Redakcya trzyma się formułki: gdyby nie Czesi, wszystko byłoby jak najlepiej.

Byliby jednak i Polacy i Czesi nadal nic nie wiedzieli o tak prostem rozwiązaniu sprawy śląskiej, gdyby nie to, że ktoś (niemądry czy przewrotny) uważał za stosowne jeden jej numer, z artykułem jak najgwałtowniejszym a prostackim, rozesłać wszystkim redakcyom pism czeskich. I pojawił się nagle pewnego dnia ten artykuł w wydaniach czeskich, bo większość pism poszła na lep i w całem tłumaczeniu go powtórzyła, jako przykład, co to za ludzie, ci Polacy!

Żądano nawet, żeby prasa polska dała Czechom satysfakcyę za *Głos ludu śląskiego*.

Gdyby stosunki dwóch narodów miały zależeć od warunku, żeby w żadnym z nich nie znalazł się ani jeden taki, jak pan Friedel, wszelkie stosunki byłyby niemożliwe.

Od lat już cytują polskie pisma polonofobskie wybryki prasy ostrawskiej; cytują, jako curiosa, wzruszają z politowaniem ramionami i na tem koniec. W Prościejowie na Morawach wychodzi gazetka *Hlasy z Hane*, dla której Polak jest synonymem wszystkiego złego na świecie; tem gorzej dla Prościejowa, że ma lichą gazetę, Polacy nie tracą na tem nic a nic. W Pradze wyszła broszura: „Jsou-li Poláci našimi přáteli?“, w której zmięszano Polaków z błotem o wiele bardziej, niż to zrobił p. Friedel z Czechami. Można tę broszurę kupić w każdej księgarni praskiej za 12 halerzy (skład główny u V. Kotrby) — a nikt z Polaków nie myśli żądać za to specyalnej jakiejś satysfakcyi od prasy czeskiej. Guarda e passa!

Zmysł krytyczny okazały w tym wypadku *Den* i *Narodni Listy*, bo zignorowały artykuł *Głosu ludu śląskiego* o „wyprawie czeskich druciarzy“. Widząc zaś nazajutrz, że inne dzienniki praskie wzięły sprawę gorąco do serca, pospieszyły główne organy młodoczeskie gasić pożar.

Den pisał: „Jest to potworność, szpetność, ale nie należy przypisywać obelgom znaczenia większego, niż na jakie zasługują. Podejrzliwość należy usunąć, a nie robić z niej przyczyn do jeszcze większej nieprzyjaźni Polaków z Czechami na Śląsku“.

Narodni Listy pisały: „Pragniemy zapobiedz rozterce, która

mogłaby w danym razie przejść z cieszyńskiej polanki na całe pasmo stosunków polsko-czeskich i skończyć się największem nieszczęściem, jakie tylko mogłoby dotknąć zachodnią Słowiańszczyznę. A więc ktokolwiek jesteś dobrym Czechem, dobrym Polakiem, staraj się o stłumienie bratobójczej walki na Śląsku cieszyńskim! Odwołujemy się do powołanych sfer polskich, żeby zagłuszyły haniebny ton prasy polskiej w Cieszyńskiem... żebyśmy nie musieli, Polacy i Czesi, rumienić się ze wstydu przed Niemcami. Potem zaś przymierze, któreby umożliwiło wspólną pracę w Cieszyńskiem; do tego przymierza musi dojść, jeżeli nie ma być straconem coś więcej, niż sądzą lekkomyślni krzykacze, robiący alarm wojenny po obydwóch stronach".

Za tę rozumną uwagę posypały się na *Nar. Listy* gromy od niektórych pism czeskich, że zdradzają sprawę czeską na Śląsku, że zaślepione w polonofilstwie gotowe rzucić całe Cieszyńskie Polakom na łup i t. p.

Sprawa małego artykułu małego pióra w małem piśmie stała się wielką awanturą. Najpoważniejsze pisma polskie pospieszyły zgromić p. Friedla i o ile znamy stosunki, zachodzi nawet obawa, żeby niecierpiała przez to popularność sprawy cieszyńskiej w Warszawie. Nikt bowiem rozumny nie życzy sobie, żeby popieranie śląskich rodaków miało być nadużywanem do wywoływania wojny czesko-polskiej.

Z Warszawy i z Pragi rzucono dawno hasło, że jeżeli już w Cieszyńskiem wojna ta jest konieczną, musi pozostać też na Cieszyńskie zlokalizowana.

Nie jest ona koniecznością ani nawet w Cieszyńskiem.

Wywołali ją bez potrzeby dziennikarze ostrawscy i popchnęli do niej czeskich inżynierów, którzy nabroili bez miary, jakby urządzając wyścigi krótkowidztwa i lekkomyślności.

Polacy z razu patrzeli na to osłupiali i niemal bezczynni. Długo padały wyzwiska i prowokacye wyłącznie tylko ze strony czeskiej prasy lokalnej. Polskie gazetki obruszyły się gniewniej dopiero wtenczas, gdy powstał pomysł, przynoszący Czechom śląskim wielki wstyd, żeby miasto Polską Ostrawę przemianować na „Śląska", żeby zatrzeć ślady polskości w samem nawet imieniu gminy. Trzebaby być z żelaza, żeby się na coś podobnego nie oburzyć. Każdy rozsądny Czech przyzna zapewne, że to była prowokacya.

Od tego czasu ton prasy polskiej zaostrzył się. Czeska zaś

prasa lokalna, zamiast się opamiętać, poczęła pisać tem zajadlej i na długo przed owym artykułem *Głosu ludu śląskiego* dostarczała wzorów polskim gazetkom. Niestety, nie okazały się one rozumniejsze od czeskich kolegów i poszły za złym przykładem. W końcu i *Dziennik Cieszyński* zaczął pisać o Czechach tonem karczemnym.

Nie poprzestano na wyzwiskach, chwycono się kłamstw. Obie strony — polska i czeska — mają takich, którzy okłamują systematycznie, ci Pragę, tamci Kraków i Warszawę.

Pierwsze grube kłamstwo padło ze strony czeskiej, gdy na jednem ze zebrań, obliczonych na okłamanie Pragi, posunięto się do twierdzenia, że w Polskiej Ostrawie niema Polaków. Zdaje się, że daleka Praga bywa wogóle bardziej wywodzona w pole od bliskiego Krakowa.

Teraz plotki i kłamstwa są codzienną strawą prasy Księstwa Cieszyńskiego i zdaje się, że pod tym względem wart jest Pac pałaca. Niedawno np. doniósł *Dziennik Cieszyński*, że Dr. Kapras (docent uniwersytetu praskiego) wystąpił na posiedzeniu czeskiej „Rady Narodowej Śląskiej" w Pradze z gwałtownem przemówieniem, żeby nie jechać na uroczystości grunwaldzkie do Krakowa i że całe to zebranie było szczuciem na Polaków. „Jeżeli Czesi nie przyjadą, nie będziemy płakać".

Odpowiada na to praski *Den*: „Stwierdzamy, że wiadomość ta może się tyczyć tylko konstytuującego walnego zgromadzenia Slezské Narodni Jednoty, bo innego zebrania nie było; na tem zebraniu nikt nie szczuł, a tem mniej Dr. Kapras, bo go wogóle nie było na walnem zgromadzeniu. Stwierdzamy to nie dla *Dziennika Cieszyńskiego*, ale dla reszty przyzwoitej prasy polskiej".

Przyzwoita prasa nie będzie się prawdopodobnie zajmować temi sprawami, czy sprawkami, bo jej obmierzną. Jeżeli tak dalej pójdzie, nastąpi zobojętnienie dla sprawy śląskiej i w Czechach i w Polsce.

Trudno — nie może ani p. Kramář zostać burmistrzem w Polskiej Ostrawie, ani p. Straszewicz w Rychwałdzie. Skoro się zarządom tych gmin (i innych) wojna czesko-polska podoba, nikt nie zdoła zmusić ich do pokoju, ani do zawieszenia broni.

Ustawa powiada wyraźnie, że gdziekolwiek znajdzie się 40 dzieci szkolnych pewnego języka krajowego, ma być dla nich

założona szkoła. Obie strony mają prawo żądać jej wykonania i obie powinny wymusić to na zarządach gminnych. Oto jedyne możliwe stanowisko w sprawie śląskiej.

Niepotrzebnie prowadzi się wojnę w prasie lokalnej, nie stojącej wcale na wysokim poziomie, zamiast przenieść ją na pole środków prawnych. Prasa, raz zdemoralizowana, nie nawróci, dopóki jej ton karczemny znajduje wdzięcznych czytelników.

Pragnęlibyśmy gorąco, żeby polska prasa była rozumniejszą od czeskiej i przyzwoitszą. Zgrzeszyła, że poszła za złym przykładem i zamiast podnieść się wobec „nieprzyjaciela“, obniżyła się.

Gdyby wszyscy trzymali się tej metody, doszłoby do tego, że i Czechami i Polakami kierowaliby... stojący najniżej kulturą i brakiem zmysłu politycznego. Przeciwko temu trzeba się zastrzedz z całą energią. Przysparza się dóbr narodowi metodą wręcz przeciwną, podnoszeniem siebie i otoczenia na coraz wyższe szczeble. Lud polski na Śląsku nie składa się z opojów i wyrzutków, żeby trzeba było przemawiać do niego językiem karczemnym. Zrozumie on doskonale mowę przyzwoitą i tem lepiej będzie bronić swych praw, im mniej zużyje się na słowa, które choćby najwrzaskliwsze, z wiatrem lecą. Wrzask gotowi wreszcie poczytać za — czyn! Zamiast sekretaryatu polskiego będziemy mieli Koždonia i czechofobską tromtadracyę.

Niema tu nic do rzeczy, że czeska prasa lokalna nie lepsza, a może jeszcze gorsza. O to właśnie chodzi, żeby przy dzikim nie dziczeć. Bardziej niż o czeską prasę, dbajmy o swoją — i tegoż prawidła niech się trzymają Czesi, a poprawią się na Śląsku prasy obie.

Są więc grzechy i po jednej stronie i po drugiej, ale... nie w jednakiej ilości spraw i nie w jednako doniosłych. Znalazły się również i zasługi. Wzorowe zachowanie się *Narodnich Listów* w sprawie śląskiej jest jednako godnem pochwały, jak godnem potępienia wystąpienie w sprawie kościoła opolskiego. — Miejmy nadzieję, że to się poprawi, a tamto nie pogorszy.

Gdyby zaś znów ktoś obdarzył redakcye praskie jakim czechofobskim artykułem ze Śląska, polecamy na antidotum lekturę prasy ostrawskiej, *Hlasy z Hané* i broszurę, o której wyżej była mowa. Skutek będzie niezawodny.

Nie mamy sobie wzajemnie nic do wyrzucenia, iż nie brak

nam ludzi mniej biegłych w używaniu rozumu. Ale tacy znajdują się na całym świecie, a gdzie rozumniejsi nie stosują się do nich, tam są nieszkodliwi.

Z PRZESZŁOŚCI SŁOWIANOFILSTWA W POLSCE.

(Nabielaka „Towarzystwo zwolenników Słowiańszczyzny“ we Lwowie około r. 1824. — *Polak* w Genewie 1837—38 r. — *Gmina* w Genewie 1866—67 r. — *Revue Slave* w Warszawie 1878—79 r. — Niedoszła *Revue des littératures slaves* w Krakowie 1880 r.).

Ciekawy przyczynek do dziejów polskiego słowianofilstwa mieści się w autobiografii Ludwika Nabielaka[1]) (1804—1883). Należał on do najwybitniejszych postaci swego czasu, zajmował się zawsze gorąco sprawami publicznemi i brał w nich czynny udział, kiedy-to pod naporem bezwzględnych rządów Konstantego w Królestwie Kongresowem i germanizacyjnego prądu w Galicyi we wszystkich ziemiach Polski jawnie i potajemnie dążono do odzyskania niepodległości. Studya akademickie pobierał w uniwersytecie lwowskim od 1821 do 1826 r.

„W ciągu zawodu akademickiego — pisze w autobiografii — i później mocno mię zajmowała literatura obca i krajowa. Była to właśnie chwila, kiedy młode umysły polskie, po rozmaitych punktach kraju, poczynały brać bujny lot w kierunku zupełnie nowym, który wywarł jak najkorzystniejszy wpływ tak w ogólności na upowszechnienie dobrego smaku w literaturze, jako i na podniesienie patryotycznego ducha. Litwa i Ukraina przewodniczyła w poezyi: Mickiewicz, Zaleski i Goszczyński poczynali być znani bardzo zaszczytnie. Warszawa była głównym punktem gruntownej i ożywiającej krytyki. Mochnacki, Żukowski, Michał Grabowski zwracali na siebie uwagę. — We Lwowie duch młodzieży, poświęcającej się naukom, wziął wcale odmienny kierunek. Ważne poszukiwania historyczne Zoryana Chodakowskiego na polu Słowiańszczyzny, przytem świeże, choć nieszczęśliwe usiłowania Pestla i Murawiewa w zawodzie politycznym, natchnęły młodzież tej części Polski duchem słowiańskim, który obiecywał dla kraju niemało korzyści. Utworzyło się Towarzystwo zwolenników Słowiańszczyzny którego dwa były główne cele: naprzód korzystać z wszelkich starożytnych zabytków słowiańskich dla wzbogacenia literatury narodowej; powtóre przez obznajmienie się z literaturą i historyą różnych plemion słowiańskich, zawierać bliższe stosunki przyjaźni i życzliwości między temi plemionami. Wielorakie względy nie pozwalają wymieniać osób[2]), które miały udział w tej narodowej pracy, ani wskazać, do jakiego stopnia pomyślności doszło było to stowarzyszenie. Do mego przedmiotu dostatecznie będzie powiedzieć, że ja byłem duszą tego polityczno literackiego

[1]) Zobacz monografię o nim Zawadzkiego. *Przewodnik naukowy T. XIII., str. 55.*
[2]) Notatka ta była pisana, jak się zdaje, w r. 1836.

słowiańskiego ruchu. Odpowiadając celom, jakie sobie stowarzyszenie założyło, zająłem się przekładem najdawniejszych zabytków poezyi słowiańskiej, jakiemi są: Rękopis królodworski, heroiczne Pieśni serbskie i sławna Pieśń o wyprawie Igora. Pierwszy ogłoszony został drukiem r 1830[1]), Tamte, przygotowane do druku, rewolucya wstrzymała".

Nierymowany, prawie dosłowny przekład Nabielaka nie oddaje w tym stopniu ducha oryginału i wdzięku poetycznego, co rymowany przekład królodworskiego rękopisu, przez Siemieńskiego, jednakże ma znaczenie jako pierwszy wyraz ówczesnego ruchu literackiego, który dążąc do odrodzenia literatury w duchu narodowym, źródeł swojskości i oryginalności szukał w poezyi pokrewnych szczepów słowiańskich, przemawiającej do duszy polskiej — tożsamością losów, pokrewieństwem niewoli, pamięcią świetnej przeszłości i pragnieniem wyzwolenia.

„Towarzystwo zwolenników Słowiańszczyzny" powstało podczas studyów uniwersetyckich Nabielaka we Lwowie, a więc pomiędzy rokiem 1821 a 1826.

W dniu 3 maja 1837 r. ukązał się w Paryżu pierwszy numer *Polaka* (wychodził trzy razy na miesiąc w terminach nieoznaczonych do końca września 1838 r., razem str. 232,8⁰). Za jeden z najpierwszych celów swego zadania uważał on „dopomódz w sposób energiczny uorganizowaniu się emigracyi, wyszukiwać i wyjaśnić, gdzie spoczywają potęgi narodu, zjednoczyć wszystkie żywioły polskie w jedną siłę moralną i ku Polsce ją skierować, aby podać dłoń potężną naszym braciom w dziele wspólnem usamowolnienia lubej ojczyzny" (str. 2). Dlatego wzywał „ludzi postępu, ludzi radykalnych", żeby na zwaliskach arystokracyi wznieśli „świątynię demokracyi polskiej, całem światłem XIX w. promieniejącą" i domagał się dla przyszłej Polski rządu republikańsko-demokratycznego.

Polak wierzył w wielką przyszłość narodów słowiańskich i określając swą wiarę polityczną (str. 9), wskazywał Polsce jej słowiańskie posłannictwo.

Przyszła Polska — powiadał — winna być „jedna i nierozdzielna. Od Odry aż do Dniepru, po Euxyn od Bałtyku, oto granice jej mocarstwa. Taka Polska odpowie godnie swemu powołaniu i spełni wysokie w Słowianii posłannictwo. Od Elby aż do Donu, od Newy do Adryatyku mieszkają liczne plemiona jednego, silnego szczepu Słowian: 55 milionów. Słowiańskie pokolenią gościnne, braterskie, pełne poświęcenia, młode, jędrne, energiczną duszą natchnione, do wielkich przeznaczone są czynów: im nadobna przyszłość należy. Słowianie odrodzą Europę, jak tyle razy Wschód odradzał egoistyczny, handlarski Zachód. Słowianie połączą Europę z Azyą. Aby tak wielkiego mogli dokonać dzieła, muszą się scentralizować. Polska, jako przodkująca im oświatą, zespolenie to uskuteczni. Polska opowie słowiańskim ludom, swym braciom, demokratyczne słowo i na ich czele usamowolnienie Europie poniesie".

Skoro tylko Polska — wykazywał *Polak* w numerze trzecim — byt polityczny odzyska, zaraz potęga Rosyi, Prus, Austryi ogromnie zmaleje,

[1]) W *Haliczaninie*. Lwów 1830, T. I.

gdyż „Morawia, Czechy, Dalmacya, Illirya, Kroacya, Slawonia, Bośnia, szczepy mnogiego Sławian rodu, wkrótce pewnie po wyjarzmieniu Polski wspólność rodu sobie przypomną i niegodne zerwą pęta". (str. 30)... „Polska więc ze szczęśliwego, jakby umyślnie wolą przychylnych nam losów wybranego położenia, sercem jest Słowianii i środkiem Europy".

„Posłannictwem więc Polski jest połączenie i zcentralizowanie wszystkich słowiańskich plemion, nie przemocą siły zwierzęcej, nie propagandą ognia i miecza, jaką moskiewski despotyzm centralizować zamierza, ale przyciąganiem spółśrodkowych dążeń, tożsamością rodu, obyczajów i wymagalności, czyli propagandą usamowolenia, odrodzenia społecznego i cywilizacyi, której Polska była i będzie niewzruszonem Słowianii ogniskiem. Posłannictwo to nie jest nieprawnem przywłaszczeniem, zgwałceniem praw pojedynczych plemion słowiańskich, jakby się komu pozornie wydawać mogło. Jest ono wypływem nieodbitej konieczności, nieodzownych potrzeb tych plemion; nie będzie przeto wymuszonem. W imieniu tych potrzeb, w imieniu przyszłości słowiańskiego rodu, wezwaną jest Polska do spełnienia tego wiekuistego centralizacyi dzieła. Ono jej się z prawa należy, ono przez nią tylko uskutecznionem być może". (str. 31)...

„Tak więc usamowolona, odrodzona Polska stanie na czele narodowego, słowiańskiego ruchu; pierwsza do hasło powszechnego wyzwolenia, pierwsza swe młodsze siostry do walki prowadzić będzie, pierwsza iść na drodze reformy społecznej i cywilizacyi, a na swem łonie spajając odwieczne węzły pobratymczych plemion, szablą najeźdźców chwilowo przecięte, stawi zdziwionemu światu zachwycający obraz pomyślności i szczęścia, którego dopóty używać nie będzie miał prawa, póki gwałt i morderstwo na Polsce zmazanem nie zostanie".

Jak się zdaje, redakcya *Polaka* ulegała dość częstej zmianie. Należał do niej w kilku pierwszych numerach Jan Czyński, później brali w niej udział przez czas pewien: Ferdynand Rogiński, Czesław Pieniążek, Michał Chodźko i Franciszek Zawadzki.

Program sojuszu ludów słowiańskich dla oparcia się panslawizmowi moskiewskiemu wystawiło także inne pismo emigracyjne, wydawane przez stowarzyszenie socyalistów w Genewie, *Gmina*, od 20 września 1866 do 15 lipca 1867 r. (4^0, nr. 8, str. 32). Domniemanym redaktorem jej był J. Tokarzewicz.

Umieszczone na czele pierwszego numeru „wyznanie wiary", podpisane przez Zygmunta Bużanca, określało cele i zasady tego komunistyczno-socyalistycznego pisma. Reorganizacya obecnego ustroju — czytamy tam — społecznego w ziemiach niegdyś Rzeczpospolitą Polską składających, dokonana na zasadzie starodawnych urządzeń gminnych, a zastosowana do ducha potrzeb i dążeń nowoczesnych — oto jedyna podstawa, na której przyszłość Polski szczęśliwie i spokojnie rozwijać się może, jedyne hasło, na które lud nasz w przyszłej walce o niepodległość milczeniem nie odpowie.

Obalenie dzisiejszego układu państwowego na ziemiach polskich dla i przez federacyę ludów słowiańskich, oto niezawodna rękojmia trwałości takiej reorganizacyi.

Porozumienie się przedstawicieli rewolucyjnych] stronnictw w Słowiańszczyźnie dla obmyślenia i przeprowadzenia ogólnego w niej powstania zbrojnego — oto najkrótsza droga do dopięcia dwóch tych celów.

Dowiedzenie i rozpowszechnienie powyższych myśli między wychodźtwem, a jeśli się uda, to i w kraju — oto zadanie *Gminy.*

Wywiesiwszy chorągiew zbratania ludów słowiańskich na zasadach federacyjnych, pragnęła *Gmina* złączyć „w wolnym słowiańskim sojuszu“ wolne i samorządne Czechy, Serbię, Ruś, Rosyę, Litwę i Polskę i utworzyć federacyjną rzeczpospolitą, „jedyną odpowiednią Słowiańszczyźnie formę politycznego ustroju“. Równocześnie jednak, kierując się ścisłą zależnością kwestyi politycznych od społecznych, stanowiła w swym programie obok federalizmu gminowładztwo, uznając „gminę starosłowiańską“, rozwiniętą odpowiednio do nowoczesnych potrzeb ducha ludzkości, za podstawę współczesnego bytu i jedyny środek rozwiązania kwestyi społecznej. Wydawcy *Gminy*, sfanatyzowani doktryną, zamierali „na zburzonych okopach świętej Trójcy: monarchizmu, arysto — i teokratyzmu zbudować ołtarze powszechnego pokoju i wiecznego szczęścia“, a zrywając zupełnie z przeszłością, wzywali do powrotu do gminowładnego słowiańskiego życia i wytępienia wszelkich śladów „cywilizacyjnych śmieci“, jakie Polska od Zachodu przyjęła.

Już współcześni, zaraz po wyjściu pierwszego numeru, przepowiadali im; że na stanowisku, które obrali, pozostaną samotnymi — i nie zawiedli się. Albowiem jak dążenie do skasowania osobistej własności czyniło ich nieprzyjaciółmi nietylko klasy panującej w Polsce, tak znowu forma ich propagandy oburzała nawet najzaciętszych nieprzyjaciół konserwatyzmu i tradycyjnych błędów przeszłości polskiej.

W r. 1878, w maju, zaczął wychodzić w Warszawie miesięcznik francuski poświęcony specyalnie sprawom słowiańskim, p. t. *Revue Slave.* Redaktorem jego był A. de Fontaine, a wydawcą A. von Spitzbarth.

Rozchodził się on we Francyi, Niemczech, Anglii, Hiszpanii i Włoszech i zaznajamiał świat zachodni z literaturą i cywilizacyą słowiańską.

Nasze pismo — mówił Fontaine w przedmowie — poświęcone słowiańskiej literaturze, nauce i sztuce, ma za cel przez ogłaszanie objawów ruchu intelektualnego stać się źródłem wiadomości o cywilizacyi narodów, zajmujących ważne miejsce w wspólnem przeznaczeniu ludów europejskich, a to w języku francuskim, jako najwięcej rozpowszechnionym i chce związać ściślej cywilizacyę słowiańską z ruchem intelektualnym całego świata. Dziełom słowiańskim będzie torowało drogę do powszechnej sławy. Politykę wyłączyło ze swego zakresu, żeby pozyskać współpracownictwo wszystkich bez wyjątku pisarzy i uczonych słowiańskich i poparcie całej inteligencyi.

Odpowiednio do tego programu ogłasza *Revue Slave* przekłady poezyj Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Zielińskiego, Ujejskiego, Asnyka pióra J. Mien'a i Sylvère Granville'a, utworów Puszkina, Kryłowa, Dmitriewa, powieści Kraszewskiego, Turgeniewa; studya literackie, P. Konarzewskiej o Preradoviću, Courriera i Dozona o pieśniach ludowych bułgarskich,

o Słowackim, Krasińskim, o Hollym, poecie słowackim, o ruchu literackim w Czechach, o teatrze czeskim, serbskim i rozprawy naukowe np. o kurhanach, o pochodzeniu Słowian; oraz opisy geograficzne państw słowiańskich na Bałkanie i korespondencye z głównych ognisk słowiańskich. Rozprawy te i przekłady posiadają trwałą wartość. Wyszły one przeważnie z pod pióra pisarzy francuskich: J. Mien, Sylvère Granville, C. Courrière, Rambaud, Reynald, Grille.

Pomimo poważnego charakteru i przychylności uczonych tak polskich, jak i innych, już po upływie roku, w maju 1879 r., zakończyła *Revue Slave* swój krótki żywot, jednakże szesnaście jej zeszytów (tworzących cztery tomy, przeszło 400 str.) pozostaną na zawsze pięknem świadectwem szczerych sympatyj cudzoziemców do świata słowiańskiego.

Myśl wydawania podobnego wydawnictwa podjął Juliusz Mien, przyjaciel i znawca literatury polskiej, znany tłumacz na język francuski kilku najpiękniejszych utworów Słowackiego i Krasińskiego, ogłaszając prospekt dwutygodnika naukowego, artystycznego i literackiego, mającego wychodzić w Krakowie od stycznia 1880 p. t. *Revue des litteratures slaves*. Pismo miało podawać artykuły oryginalne, życiorysy, powieści, rozbiory, sprawozdania z najznakomitszych dzieł literatur słowiańskich, a nadto echa ze świata społecznego i politycznego Słowian. Co kwartał miały być dokładane przekłady najcelniejszych utworów, oraz historya literatur w krajach słowiańskich — wszystko jednakże skończyło się na ładnym projekcie. *Edward Kołodziejczyk.*

Recenzye i sprawozdania.

A. Ł. Bajkow, docent ces. petersburskiego uniwersytetu: Современная международная правоспособность папства, въ связи съ ученіемъ о международной способности вообще. (Dzisiejsza międzynarodowa zdolność prawna papiestwa. Badanie historczno-dogmatyczne). Motto: „Reddite quae sunt caesaris, caesari, et quae sunt Dei, Deo". Petersburg 1904, str. XXXV+46 dużej 8-ki.

Bardzo to sumienna praca. Autor, specyalista w prawie międzynarodowem, z nadzwyczajną znajomością rzeczy i równą jej erudycyą wykazuje, że Stolica św. jest podmiotem prawa międzynarodowego, na równi z innemi społeczno-politycznemi organizmami. Ale co dziwniejsza, p. Bajkow, mimo że stoi na gruncie cerkwi rosyjskiej, samemu tylko Kościołowi katolickiemu przyznaje to wysokie stanowisko. Inne kościoły, nie wyłączając rosyjskiego, nie mają, według niego, międzynarodowej prawomocności, nie mogą więc traktować z państwami, jak równy z równym, ani mieć międzynarodowego przedstawicielstwa, czyli posłów, ambasadorów, nuncyuszów i t. p. Dowodzi zaś tego na mocy „zwierzchności" (suwerenności) „wolności" i „niezawisłości", które to przymioty papiestwu przyznaje i dokładnie, jurydycznie je określa.

Z jakiem zaś przygotowaniem autor przystąpił do tego dzieła, widać z bibliografii umieszczonej na końcu książki. Wykazuje ona 320 tytułów większych i mniejszych prac o prawie międzynarodowem i kwestyi rzymskiej, zaczynając od najstarszych, (np. G e r s o n „De ecclesiastica et politica potestate“) aż do najnowszych, t. j. do roku 1904, w którym ta książka wydana.

Treść rozpada się na trzy części. Pierwsza, to rys historyczny, jak się rozwijała ta międzynarodowa powaga papiestwa. Część druga: „istota i konstrukcya prawnej międzynarodowej zdolności wogóle“. Trzecia: „konstrukcya obecnej, takiejże zdolności papiestwa“.

We wstępie autor mówi, że po upadku państwa kościelnego, a zwłaszcza po śmierci Piusa IX, zdawało się, że międzynarodowe stanowisko Kościoła upadnie; tymczasem za Leona XIII ono niezwykle się jeszcze wzmocniło. Dla dzisiejszej nauki prawa międzynarodowego jest to nienormalnością, zagadką. „Historya — mówi — stworzyła fakt, z którym międzynarodowa jurysdykcya chcąc niechcąc musi się liczyć“. Gdzieź szukać rozwiązania tej sprzeczności teoryi z praktyką? Według autora kryje się w samej podstawowej zasadzie prawa międzynarodowego, w tej mianowicie że osobą prawno-międzynarodową jest i może być jedynie polityczny organizm państwowy. I wykazaniu tego zasadniczego błędu i jego naprawieniu poświęca swą cenną pracę.

„W pierwszej części, czyli historycznym zarysie — mówi p. Bajkow — staraliśmy się odtworzyć główniejsze momenty z historyi papiestwa, charakteryzujące proces, w jakim tak Stolica św. jak i państwa zachodnio-europejskie wchodziły w stosunki i otrzymywały stopniowo zasadnicze elementy międzynarodowej zdolności prawnej“ (str. XXIII).

Autor zastanawia się tu nad początkiem świeckiej władzy papieży, i za główny czynnik jej powstania uważa „wielką wędrówkę narodów“.

Staje więc na gruncie czysto racyonalistycznym. Jako zaś pisarz prawosławny, nie może się uwolnić od opinii swego kościoła co do „ambitnych dążeń papiestwa“. Słusznie jednak twierdzi, że „znacznym czynnikiem politycznej emancypacyi papiestwa była wybitna działalność misyonarska jego przedstawicieli“.

Bardzo dobrze charakteryzuje autora, a raczej jego nieśmiałą dobrą wolę i miłość prawdy historycznej wobec hyperkrytyki protestanckiej — przypisek na str. 15: „Zwykle przyjmuje się jako niewiarogodne podanie, że pierwotna gmina chrześcijańska w Rzymie była założona przez św. Apostołów Piotra i Pawła; sprawiedliwość jednak wymaga, aby nie pomijać milczeniem bardzo starożytnego pochodzenia tej tradycyi; powstała ona bowiem w epoce, kiedy nikt jeszcze nie myślał, jak słusznie uważa N e a n d e r (Bd. I. S. 209 Anmerk 1) wyzyskiwać jej w celu wywyższenia władzy papieskiej“.

Myli się jednąk autor, pisząc na str. 21: „Przemiana rządu Kościoła episkopalnego na absolutno-monarchiczny jeszcze się nie była dokonała w tej epoce“, (tj. za Karola W.). „Subjektem zwierzchnictwa religijnego jest sobór, a nie papież. Proces wywyższenia władzy duchownej papieża już się był zaczął, ale nie osięgnął potrzebnego stopnia rozwoju. Znaczenie polityczne papiestwa było niezaprzeczalne, ale nie wystarczające, by wyjść

z pod panowania cesarstwa. Przy Karolu W. Stolica św. znajduje się w położeniu wasalskiej zależności od cesarza“, i cytuje na to aż dziesięciu historyków, samych protestantów. Ci jednak, właśnie jako tacy, nie mogli mieć należytego pojęcia o głowie Kościoła katolickiego, ani o stosunku do niej Karola W. Tem mniej można mówić na seryo o przemianie konstytucyi Kościoła z „episkopalnej na absolutno-monarchiczną“.

Nie możemy się tu wdawać w krytykę wszystkich uchybień historycznych i dogmatycznych, wynikających z racyonalistycznego stanowiska autora w tej pierwszej części. Podamy raczej podział jej na cztery peryody.

Pierwszy: od edyktu Konstantyna W. 313 roku, którym Kościół chrześcijański był urzędownie uznany, aż do Grzegorza VII.

Peryod ten autor charakteryzuje słowami: „Zbieg szczęśliwych czynników historycznych przygotowuje emancypacyę polityczną papiestwa. Ta jednak, oparta na religijnej powadze Stolicy św., nie dosięgła w tym peryodzie zwierzchniczego panowania“, i dla tego, jak mówi gdzieindziej: „Kościół potrzebował opieki państwa i był mu poddany“. Każdego zdania tej tezy dowodzi autor ze ścisłością sylogistyczną na 26 stronicach, której to metody trzyma się w całej książce.

Drugi peryod ciągnie się od Grzegorza VII do „niewoli awiniońskiej“.

Charakterystyka jego podana jest w pięciu zdaniach: „1. Główne zadania Kościoła pomagają zarazem do rozwoju międzynarodowej zdolności prawnej papiestwa. 2. Rozwój tej zdolności był zawarunkowany panowaniem władzy duchownej nad świecką. 3. To panowanie miało przyczynę w absolutno-monarchicznej formie średniowiecznych rządów i w religijnem zwierzchnictwie papieża. 4. Panowanie papieża nad państwem nie zawierało istotnych znamion teokracyi“ [te zaś znamiona autor następnie określa: a) „utożsamienie Kościoła z państwem, b) panowanie organizacyi religijnej nad polityczną“]. 5. Zaprowadzenie wszechświatowej monarchii papieskiej okazało się w praktyce nie do wykonania“.

Trzeci peryod: od „niewoli awiniońskiej“ do wielkiej rewolucyi francuskiej. Charakterystyka tego okresu: „państwa zdobywają podstawy międzynarodowej zdolności prawnej w stosunku do papiestwa, które je zdobyło już dawniej. Rozwinięciu międzynarodowej prawnej konstrukcyi wzajemnych stosunków obojej władzy przeszkadza absolutno-monarchiczna forma średniowiecznej organizacyi państwowej“.

Peryod czwarty, od wielkiej rewolucyi do upadku państwa kościelnego, charakteryzuje się tem, że „rewolucya francuska, głosząca wolność narodów, emancypuje państwa katolickie z pod opieki papiestwa. Taż sama idea emancypacyi i wolności ludów powoduje upadek państwa kościelnego. Ten upadek podniósł jednak powagę Stolicy św., a jednocześnie zachował papiestwu elementy międzynarodowej zdolności prawnej“.

Musimy wytknąć pewne mylne zapatrywania. Przedewszystkiem antagonizm dwóch władz, duchownej i świeckiej, bynajmniej nie jest tem, czem go chce mieć autor, t. j. zmaganiem się dwóch równorzędnych sił, z których każda w różnych czasach albo drugą ujarzmia, albo też obie stoją względem siebie w napiętej równowadze, a tem samem się znoszą. Można wprawdzie, owszem, trzeba tak rozumować, jeśli za źródło tych dwóch sił moralnych

uważa się — nie jednego, żywego prawodawcę, ale martwe abstrakty, osoby prawne, więc fikcyjne. Gdy tymczasem w rzeczywistości te dwie siły, jako wynikające z jednego i konkretnego i żywego źródła, ale mające dwóch, takichże konkretnych kierowników, nie potrzebują wcale być w antagoniźmie: niech tylko żadna nie przekracza zakreślonej sobie przez tożsamo źródło kompetencyi. Czyli — mówiąc innemi słowy — niech najwyżsi naczelnicy rządów tak duchownych jak świeckich czują się całkowicie zależnymi od owego Źródła-Boga, a będą mogli się wzajemnie a potężnie wspomagać, a tem samem przynosić szczęście powierzonym sobie ludom, tak doczesne jak wieczne. A że istotnie z jednego źródła obie te władze pochodzą, na to mamy niezbity dowód w słowach wcielonej Prawdy: „Dana mi jest w s z e l k a władza, na niebie i ziemi, idąc tedy nauczajcie wszystkie narody“.

Dwie następne części są czysto jurydycznej natury.

Wychodząc z zasady, że aby jakiś organizm społeczny mógł być podmiotem prawa międzynarodowego, musi koniecznie posiadać następujące trzy warunki: zwierzchność, wolność i niezawisłość, należy bezsprzecznie przyznać prawo do takiego przywileju papiestwu, które je posiada, czyli uznać je jako osobę moralną i podmiot prawa międzynarodowego. Błąd zaś międzynarodowych jurystów, wskutek którego odmawiają papiestwu tej godności, leży według autora w tem, że nie dość ściśle określają i odgraniczają od siebie te powyższe trzy zadnicze pojęcia [zwierzchnośći, wolności i niezawisłości].

W drugiej więc części książki autor udowadnia pierwszą przesłankę swego sylogizmu, czyli, że te trzy elementy czynią każdy organizm społeczny, który je posiada, podmiotem prawa międzynarodowego; w trzeciej zaś dowodzi drugiej przesłanki i wysnuwa wnioski. Czyli, pierwsza część zajmuje się konstrukcyą międzynarodowego; podmiotu i jego zdolności prawnej wogóle, a trzecia odpowiada na pytanie, czy i o ile dzisiejśze papiestwo posiada wszystkie te trzy elementy.

Jako allegat dodano w końcu tekst włoski z tłomaczeniem rosyjskiem gwarancyi, jakie rząd włoski, zabrawszy państwo kościelne, zapewnił Stolicy św.

Nie podobna nam w krótkiej recenzyi wyliczać wszystkich określeń na „suwerenność“, władzę personalną, terrytoryalną, eksterytoryalną i deterrytoryalną, tudzież tylu innych stanów prawnych prawa międzynarodowego, jak również polemik z profesorami tegoż, choć są to rzeczy bardzo kształcące i ciekawe nawet dla niespecyalistów w tym przedmiocie.

Jedno wszakże dobrze będzie wogóle zauważyć. Oto że dzisiejsza szkoła prawa międzynarodowego, a przynajmniej wielki jeden jej odłam widzi jedyne źródło tegoż w samej idealnej i abstrakcyjnej osobie jurydycznej danego organizmu politycznego. Taki „zwierzchniczy (suwerenny), wolny i niezawisły organizm“ nazywa się „idealnym podmiotem władzy“ (str. 224). Ten zaś idealny podmiot daje pełnomocnictwo podmiotowi realnemu, czyli żywemu człowiekowi, królowi lub prezydentowi rzeczypospolitej. I przeto, jeżeli ten ostatni zrobi coś złego, będzie to proste prze-

wyższenie władzy, więc akt jurydycznie nieważny [1]), bo idealny podmiot nia dał mu na to pełnomocnictwa, sam zaś (jako fikcya prawna) nie może popełnić żadnego nadużycia; jest w całem tego słowa znaczeniu — bezgrzeszny. Na to jednak możnaby odpowiedzieć, że jest to właśnie największe nadużycie i przewyższenie władzy, jeśli osoba fikcyjna ośmiela się dawać władzę i pełnomocnictwa osobie konkretnej panującego, który znów ze swej strony okazuje się być godzien takiego mocodawcy, jeśli jest przekonany, że istotnie od niego a nie od Boga są mu dane wodze rządu. Co prawda, owo nadużycie nie jest ze strony tego „idealnego podmiotu" (bo to fikcya), ale ze strony pewnego odłamu jurystów, którzy, nie chcąc uznać źródła wszelkiego prawa i sankcyi w osobowym Bogu, używają tego fikcyjnego bożka jak parawanu, z poza którego sami nakładają prawa i obowiązki na żywych ludzi.

Na zakończenie powiedzmy, że jest to praca człowieka prawdziwie uczonego, w europejskiem tego słowa znaczeniu. Jest on objektywny, ogromnie pracowity, a przytem skromny i traktujący przeciwnika z wielkim szacunkiem. Jednem słowem, człowiek dobrej woli.

Pragnąć należy, żeby tę książkę przełożono na którykolwiek język zachodni; uczeni specyaliści i nauka wogóle niemałą stąd odniosłaby korzyść. *Ks. H. P.*

В. А. ФРАНЦЕВЪ: Письма къ В. Ганкѣ изъ славянскихъ земель Варшава 1905. (**W. A. Francew:** *Pisma k Hankie iz sławjanskich zemel*).

Pokaźny ten tom — 1296 stron in quarto, opatrzony spisem treści oraz indeksem osób, poprzedził prof. Francew wstępem, wyłuszczającym historyę i cel wydawnictwa.

Niezwykła postać Hanki odegrała rolę jeszcze wybitniejszą, niż sądzą, w dziejach odrodzenia czesko słowiańskiego. Zarzuty częstokroć poważne i słuszne — podnoszone ze stanowiska naukowego przeciw pracom Hanki — nie umniejszają w niczem ogromnego wpływu organizacyjnego, jaki wywierał na przedstawicieli różnych szczepów słowiańskich w kierunku rozbudzenia w nich patryotyzmu rasowego i zamiłowania do nauk o rzeczach słowiańskich w każdym zakresie.

Wszystkim chętnie pomagał, doradzał, informował, załatwiał polecenia, rekomendował, obdarzał dziełami naukowemi i pośredniczył w przeróżnych interesach — najzupełniej bezinteresownie. Paliła się w tym człowieku jakaś energia żywiołowa czynnej realnej miłości do Słowiańszczyzny, w dziedzinie zwłaszcza objawów jej życia umysłowego. Dla nadania temu życiu silniejszego rozmachu, nie cofnął się, jak wiemy, nawet przed fałszowaniem quasi prastarych fragmentów czeskich epickich, znanych pod nazwą ogólną „starobyli skladani".

Korespondencya jego obejmująca najdalsze zakątki Słowiańszczyzny, przybrała rozmiary poprostu imponujące i dla historyi filologii słowiańskiej posiada znaczenie niezmiernie ważne. Przekonywa nas o tem niezbicie księga niniejsza, dostarczająca obfitego materyału do poznania stanowiska,

[1]) Chyba że „idealny podmiot" przez usta i głowę jakiego jurysty-polityka powie, że mu dał na to władzę.

wpływów i stosunków Hanki w słowianoznawstwie i słowianofilstwie, a równocześnie do zapoznania nas z szeregiem nader wybitnych słowiańskich działaczy.

Przeważną część manuskryptów wydostał prof. Francew z papierów Hanki w zbiorach Muzeum Czeskiego, uzupełnił to z bibliotek rosyjskich i polskich, przedrukował wreszcie część listów wcześniej w pismach ogłoszonych. Dodana jest we wstępie bibliografia literatury rosyjskiej o Hance.

Układ listów — alfabetyczny podług nazwisk autorów, w porządku chronologicznym, indeks, spis osób etc. zalecają się starannością wykonania i dobrą metodą. Z nieprzebranych tych skarbów wzmiankować tylko możemy o pisarzach innej narodowości, zachowując więcej miejsca do uwag i informacyj o tem, co bliżej nas Polaków obchodzi. Największą część zbioru (700 str.) zajmują listy Rosyan, drugą (400 str.) Polaków ostatnią (168 str.) reszty Słowian.

Z Rosyan wymienię tylko ważniejszych, hr. Adlerberg, J. Aksakow, hr. Błudow, Wostokow, ks. O. Wiaziemskij, A. Hilferding, Demidow, D. Zubrickij, M. Iwaniszew, bar. A. Ükskul, M. Katenin, M. Katkow, P. Koeppen, bar. M. Korf, W. Łamanskij, I. Łobojko, M. Nadieżdin, prof. I. Płatonow, M. Pogodin, P. Prejs, A. Pypin, A. Siemionow, S. Sobolewskij, S. Sołowjow, hr. M. Speranskij, I. Sreznieswskij, W. Stasow, hr. S. Uwarow, M. Ustrjałow, A. Chomiakow, B. Cziczerin, A. Sziszkow, ks. P. Szirinskij-Szichmatow.

Znajdujemy tu szereg słynnych uczonych, wysokich urzędników i dyplomatów, wybitnych działaczy społecznych.

Najszczuplejszy dział listów południowo i zachodnio słowiańskich dostarcza jednak garść nazwisk wsławionych i zasłużonych w swej ojczyźnie, więc I. Andreow-Bohojew, W. Apriłow, A. Aszik, I. Babst Derlić A., J. Bleiweis, St. Vraz, M. Hornik, P. Jordan, St. Kociančić, F. Kurelac, F. Levstik, V. Lisinski, P. Kulisz, J. Łozinskij, M. Majar, F. Metelko, F. Miklošić, P Niegosz, M. Obrenović, V. Pacel, hr. O. Počić, F. Rački, I. Rajačić patryarcha, J. Smoler, J. Francel, I. Czokerlan, Wukadinowić, A Einšpieler, Wuk Karadżić.

Ustępując ilościowo listom rosyjskim, listy polskie wykazują się jednakże liczbą bardzo znaczną (700 str. — 400 str.). Powstają w okresie od 1820 r. mniej więcej, do 1861 (rok śmierci Hanki). Świadectwo to żywotności ogromnej u nas prądu słowianofilstwa, który wbrew utartej opinii, zdołał przetrzymać nawet klęskę 1831 r., przenosząc tylko nieco punkt ciężkości do Słowiańszczyzny austryacko-węgierskiej i tureckiej.

W zbiorze W. Francewa czerpiemy masę materyału niezwykle interesującego do dziejów umysłowości naszej ówczesnej i wpływu na nią prądu słowianofilskiego. Ą przecież listy do Hanki, to część tylko listów polsko czeskich. A gdybyśmy mieli wszystkie listy nasze do ziem słowiańskich wysyłane ?!

Do wniosków pewnych jednakże wystarczają i te, które dzięki prof. W. Francewowi są w naszem rozporządzeniu.

Oto słowianofilstwo polskie (nie utopijne bynajmniej, ani nie zrze-

kające się żadnej cechy polskości) miało głęboki podkład i wszelkie dane do rozwoju, krzewiło się potężnie wśród bardzo sporego odłamu intelligencyi i działaczy patryotycznych.

Wypadki późniejsze polityczne (klęski powstań i prześladowania Rosyi) osłabiły to w części, jednak winy po naszej stronie nie usuwają. Gdy w Rosyi ludzie wszystkich zawodów i stanów, naówczas czynnych politycznie — więc ministrowie, biskupi, duchowni, intelligencya, obywatele ziemscy etc, podtrzymują ogólnie myśl polityczną słowiańsko-rosyjską, którą zresztą rząd tylko częściowo podziela, u nas są to usiłowania przeważnie na tle kulturalnem, rozproszone i odosobnione ze strony pewnych grup tylko i jednostek, chociaż i licznych. Za szybko zniechęcamy się do czynnej roboty, za szybko zrzekamy się twórczej walki politycznej o szerszej, głębszej myśli filozoficzno-społecznej. Nie dziw tedy, że spotykając ze strony rządu i społeczeństwa rosyjskiego energiczne poparcie, objawy życzliwości i uwielbienia, Czesi i inni Słowianie przechylili się na stronę Rosyi wobec zimnej i wyczekującej rezerwy społeczeństwa polskiego.

Myśl słowiańska jednakże żłobiła powoli umysły i wykazywała, że słowianofilstwo polskie jest właśnie najjaskrawszem zaprzeczeniem panslawizmu moskalofilskiego, skoro wyznawali ją stojący wtedy w obozach przeciwległych — jak np. konserwatysta Z. Helcel i czerwony demokrata J. Lelewel.

Tyle nauczyć nas może nawet tak niezupełna wiązanka listów, jaką są listy do Hanki. Rozpatrzmy się w ich treści nieco bliżej.

Najpoważniejszą oczywiście wśród korespondentów Hanki jest grupa filologów starszych i młodszych. J. S. Bandtkie raz gawędzi po przyjacielsku, raz rozprawia o kwestyach fachowych; M. Bobrowski wynurza się z wdzięcznością najserdeczniejszą i hołdem za pomoc naukową Hanki; M. Wiszniewski załatwia różne interesy książkowe. W. Cybulski dyskutuje o współczesnych mu zjawiskach literackich polskich i słowiańskich; S. B. Linde opowiada o planach prac zamierzonych co do historyi literatur słowiańskich i uregulowania pisowni; A. Kucharski dzieli się obszernie wrażeniami ze swych podróży po Austryi i Węgrzech, prowadzi polemikę, wyłuszcza spostrzeżenia i plany swe naukowe; J. Jastrzębski pełen jest szlachetnej ambicyi, marzy o tem, aby konkurować zwycięzko z „Moskalami“ (na emigracyi) na polu naukowem, w dziedzinie wydawania zabytków piśmiennictwa słowiańskiego; — ciekawe są jego informacye o zapale Mickiewicza dla towianizmu, o wykładach w Collège de France, o Chopinie, który, jak się pokazuje, był także w przyjaznych stosunkach z Hanką.

W grupie prawników i historyków znajdujemy same chluby polskiej nauki: R. Hube występuje jako wielki miłośnik Słowiańszczyzny, zachęca gorąco do studyów nad prawem czeskiem, rozwodzi się chętnie o własnych zamierzeniach i pracach z prawodawstwa; A. Helcel, wzywając do udziału Hankę w swym *Kwartalniku*, podkreśla, że głównem jego zadaniem są studya nad stanem i szerzeniem oświaty w Słowiańszczyźnie, piętnuje z oburzeniem polemikę pomiędzy *Jutrzenką Krakowską* a gazetami praskimi, a przed wyborcami swymi staje z kategorycznym programem słowianofilskim, jednomyślnym wyborem jego zatwierdzonym wymownie.

Przedruk poprawiony i uzupełniony dawniej już wydanych listów W. Maciejowskiego wynosi 91 str. I. B. Rakowiecki prosi o dalsze wskazówki dla swej „Ruskiej Prawdy", wykazując dobitnie, jak bardzo wpływom Hanki ulegał; przyszły historyk i prawnik A. Bielowski obszernie rozpisuje się w sprawie wydania w Pradze „Ziewonii", czem się opiekował Hanka. Nie bez interesu są też listy Hanki do Bandtkiego i Hubego na końcu książki.

O żywszem zainteresowaniu szerszych, nie już fachowych warstw polskich dla kwestyi słowiańskich świadczą najbardziej może listy literatów.

Krótki liścik Mickiewicza polecający kogoś Hance zastanawia nas ze względu na osobę autora; L. Siemieński polemizuje w sprawie przekładu Rękopisu Kralodworskiego, mówi sporo o sympatyach swych słowiańskich i pracach na niwie slawistyki, o wydaniu „Dumek" w Pradze. W. Korotyński entuzyastycznie wita Hankę, jako zdecydowany słowianofil — pragnie koniecznie nauczyć się czeskiego języka; J. Kraszewski zaprasza do współpracownictwa w dziale słowiańskim *Gazety Codziennej*, A. Łukaszewicz o to samo w *Orędowniku*; L. Zieliński — z ekstazą — do *Lwowianina*; A. Kirkor do *Teki Wileńskiej*. Jest to lojalny bardzo słowianofil polsko-czesko-rosyjski, marzący wyłącznie o kulturalno-naukowych celach ugody i stosunków słowiańskich. L. Żuk-Skarszewski utyskuje na obniżenie poziomu nauk w Polsce, skarży się Hance na oczernianie historyi polskiej przez Palackiego i prosi o instrukcye „Maticy Czeskiej", aby zorganizować podobną instytucyę u nas; Fr. Malewski, druh bliski Mickiewicza — pozostaje w nader serdecznych stosunkach z Hanką, do końca śledzi z zainteresowaniem rozwój nauk stawistycznych i zachowuje wybitne sympatye słowiańskie; K. Słotwiński rozpisuje się w różnych bibliograficznych kwestyach; ciekawe są jego skargi do charakterystyki potwornego ucisku cenzuralnego, któremu podlegała literatura polska w Galicyi po 1831 r.

Na bliższą wzmiankę zasługuje także korespondencya kilku mecenasów, którzy zapytywali Hanki o wartość różnych manuskryptów, inkunabułów, monet etc. słowiańskich, lub też nabywali potrzebne sobie rzeczy za jego pośrednictwem. Hr. T. Działyński gorliwie gromadził do swojej biblioteki kórnickiej polonica i slavica; bar. St. Chaudon dyskutuje o nabytkach do słynnych swych zbiorów archeologicznych, numizmatycznych etc.

Pozostaje nam jeszcze wymienić listy należące do działu „okoliczno ściowych". Pełno w nich faktów ciekawych, wiadomości, szczegółów, próśb pytań etc. A pisane do Hanki nieraz przez osoby mu nieznane, dowodzą, jak silnie reagowano u nas na sprawy słowiańskie, jak żywe, realne i rozpowszechnione było zainteresowanie niemi wśród osób najczęściej nawet dalekich nauce.

Zasypywano wprost niemi Hankę, który z niezmienną wytrwałością zawsze służył pomocą i radą w sprawach nawet zupełnie prywatnego i osobistego charakteru, skoro proszący był Słowianinem.

W zbiorze Francewa mamy listy okolicznościowe — najczęściej zresztą wcale zajmujące — od następujących osób: Budziński S., A. Gorczyński, I. Hochmann, A. Kłodziński, S. Dunin-Borkowski,

A. Konewka, hr. Fr. Łubieński, X. M. Maliszewski, A. Mosbach, hr. G. Olizar, K. Sienkiewicz, K. J. Turowski, L. Jagielski, W. Jarochowski.

Nie potrzebuję chyba powtarzać, jak cennemi są materyały, jak pożytecznem i godnem wszelkiej pochwały wydawnictwo W. Francewa. Parę jeszcze nasuwa mi się uwag w sprawie rozkładu treści. Otóż wydaje mi się, że mniej mechanicznym, a lepszym byłby układ listów alfabetyczny według narodowości autorów, zaś ze względów na wnioski o psychologii i stopniu rozpowszechnienia prądów słowianofilskich w danych społeczeństwach, pożądany byłby podział listów także według zawodów autorów każdej narodowości. Osobno więc byłyby listy uczonych i prawników, filologów etc., osobno literatów i ludzi prywatnycb.

E. Woroniecki.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Najważniejszym przedmiotem roztrząsań i polemik prasy **ruskiej** w ubiegłym miesiącu był dalszy ciąg sprawy o propagandę schyzmy w Galicyi wschodniej. Jak wiadomo, przed trzema miesiącami ukazała się w *Gałyczaninie* deklaracya 25 księży grecko-katolickich ze Lwowa, przedłożona poprzednio przez specyalną deputacyę metropolicie Szeptyckiemu, w której domagają się równomiernego traktowania przez władzę kościelną duchownych ukrainofilów i moskalofilów, zaopatrując ją przytem niedwuznacznym dodatkiem, iż nieuwzględnienie tych żądań może być powodem wzrostu istniejącej już propagandy na rzecz prawosławia.

Obecnie mamy akt drugi tej akcyi, niemniej jasny i dobitny. Jest to odezwa, wydana przez tychże księży, którzy zagrozili metropolicie propagandą prawosławną, a wzywającą do zapisywania się w poczet członków mającego powstać „Towarzystwa im. Jana Złotoustego". Prałat Aleksander Baczyński, figurujący na pierwszem miejscu wśród podpisów na tej odezwie, prowadził ową deputacyę do metropolity.

Z kogóż ma się składać to Towarzystwo; jakim ma być jego charakter i cel? Czy jest to akcya samego duchowieństwa, czy też działa tu ręka ukryta? *Rusłan* twierdzi, że nawet maski zdzierać nie potrzeba, bo włożoną jest tylko dla przyzwoitości.

Odezwę wydano wskutek ogólnego rzekomo „głosu opinii", zwłaszcza zaś uchwały duchowieństwa lwowskiego, należącego do „russko-narodowej" partyi z dn. 2 lutego b. r., i w tymże dniu odbył się zjazd moskalofilskich mężów zaufania. Zbieżność dat mówi sama za siebie.

Towarzystwo to ma stać się środowiskiem, jednoczącem moskalofilskie duchowieństwo grecko-katolickie, zespalające dorywczą dotychczas i nieplanową pracę. Wedle słów odezwy będzie ono łączyć księży grecko-katolickich, ułatwiać im wykonanie ich obowiązków, a współpracować w sprawie połączenia kościołów.

Jak rozumiane są te obowiązki, co rozumieć należy przez połączenie

Kościołów — to wszystko nabiera według *Rusłana* — właściwego oświetlenia w zestawieniu z działalnością moskalofilów wśród ludu.

Niedawno episkopat lwowski wydał list pasterski, zakazujący rozpowszechniania kalendarza moskalofilskiego z artykułem A. Markowa zohydzającym pamięć św. Jozafata i Kościół katolicki, ostrzegający przed agitacyą, jakoby „nasza wiara" była wiarą prawosławną, „nasza cerkiew" i cerkiew rosyjska to wszystko jedno, jakoby między ruskimi katolikami a rosyjskimi schyzmatykami niebyło żadnej różnicy.

A jakiż charakterystyczny jest artykuł w dzienniku ludowym *Gołos Naroda* „Swiataja Ruś".

Autor poucza lud, że na pewne drobne różnice cerkwi z tej i tamtej strony Zbrucza wpływają odmienne warunki polityczne: z tej strony kordonu — to lud rosyjski ujarzmiony; z tamtej — to wolni obywatele. Pamiętają starzy, powiada, żołnierzy rosyjskich z lat 1848/9, spieszących na ratunek Austryi; zapytajcie ich — czem oni się różnią od nas; niczem, bracie, chyba tem, że tamci wiarę mają silniejszą, że są pobożniejsi. W chatach waszych — żali się dalej — obrazy malowane są na sposób łaciński, niema w nich cech właściwych „naszej cerkwi rosyjskiej" (św. Mikołaj np. przedstawiany jest powszechnie w łacińskiej infule, zamiast w złotej mitrze).

Po takiej lekcyi poglądowej, zawierającej i westchnienie pod adresem wolności rosyjskich i nawoływanie do wyzbycia się galicyjskich naleciałości i wyjaśnienie, co to znaczy „połączenie kościołów", przechodzi autor do zagadnienia „Swiataja Ruś", postawionego na czele artykułu i charakteryzuje je w następujący sposób: Swięta Ruś jest demokratyczną, ponieważ w cerkwiach grecko-prawosławnych niema ławek dla szlachty i panów; wszyscy tam równi, nawet tron carski stoi na mało co wyższym poziomie, by wszyscy mogli go swobodnie otaczać i oglądać. W książęcej stolicy Wołodara (chyba Przemyśl!), w grodzie Lwa (Lwów!), w Kremlu i soborze kazańskim, w każdej kapliczce przydrożnej, jest obecna „Swiataja Ruś".

Oczom trudno wierzyć, gdy widzi się podobne zestawienie, jak Przemyśl, Lwów i Kreml moskiewski.

I mimo to wszystko *Prikarpatskaja Ruś* zaprzecza najkategoryczniej atakom prasy ukraińskiej, jakoby moskalofile szerzyli propagandę prawosławną. Zapewne, na początek trzeba towar przemycać. *tki.*

Jeden z największych **rosyjskich** polakożerców, a garnący się mocno do „neoslawizmu", prof. Filewicz, wywodzi w *Now. Wremieniu*, że polska myśl polityczna już się skrystalizowała, a mianowicie w prądzie polskiego słowianofilstwa. Informacye p. Filewicza są tak bałamutne, że trudno sobie wyobrazić lepszy przykład na przysłowie: „słyszał, że dzwonią, a nie wie, w którym kościele".

Zdaniem prof. Filewicza naród polski doszedł do konkluzyi, że należy mu iść ręka w rękę nie z Rosyą, lecz z monarchią austro-węgierską; że należy szukać oparcia na Austro-Węgrzech; nie wzmacniać Rosyi, lecz przeciwnie dążyć do jej osłabienia; nie „zadzierać" z Niemcami, względnie ze światem germańskim, gdyż mniej szkód i krzywd wyrządziły Niemcy

narodowi polskiemu, niż Rosya; że wreszcie należy dać za wygraną uprawianiu t. zw. neoslawizmu, ponieważ ta nowoczesna inwencya polityczna może nadwerężyć, nawet niechcący, stosunek narodu polskiego do Austro-Węgier taki, jakim — być powinien.

Jak widzimy, pomięszało się prof. Filewiczowi polskie słowianofilstwo z austroslawizmem. Z wywodów jego wynikałoby bowiem raczej, że polskiego słowianofilstwa niema całkiem, skoro Polacy oddali się z całą bezwzględnością austroslawizmowi.

Jeszcze bałamutniejszy jest sposób, w jaki p. F. udowadnia swe odkrycie. Dowodów dostarczają mu trzy broszury i dwa miesięczniki krakowskie. Głos p. Studnickego przeciw uroczystościom grunwaldzkim, żeby nie drażnić Niemców, bo oni nam potrzebni. jako sojusznicy do pochodu na Moskwę — w broszurze jego p. t. „Przeciw prądowi"; program przyłączenia Galicyi do Węgier z broszury L. Bylskiego „Pogląd na stan obecny kwestyi polskiej"; nawoływanie Polonusa Viatora, żeby w razie wojny austryacko-rosyjskiej tworzyć pułki polskie i wystarać się o uznanie, jako „strona wojująca"; ucząca nas wszystkich polskiego patryotyzmu *Krytyka*, wojująca ze *Swiatem Słowiańskim* i... tenże *Swiat Słowiański* — a na dobitkę jeszcze nie zajmujący się wcale polityką *Kwartalnik Litewski* — mają być dowodami, stwierdzającemi istnienie nie wiedzieć czego, czy austroslawizmu, czy polskiego słowianofilstwa.

Widząc, jak tak wybitny reprezentant nauki czynowniczej nie umie się zoryentować w najprostszych rzeczach, jak mięsza fakty i łączy je w karykaturalne konstrukcye, nie dziwimy się już, że Rosya oficyalna nic nie umie, nic nie wie, nic pozytywnego zdziałać nie potrafi.

Ale tyle wie zapewne nawet współpracownik *Now. Wremienia*, że cała Polska stała, jak jeden mąż, z rękoma wyciągniętemi do zgody za cenę polskiego języka urzędowego w szkole, sądzie i urzędzie, lecz zgody nie chcieli i nie chcą Filewicze.

Pogratulować można i **Czechom** i całej „Jednocie" słowiańskiej w parlamencie, że radykali czescy zdecydowali się nareszcie opuścić ją. Strata 13 mandatów nie jest niczem wobec korzyści, że „Jednota" nie będzie kompromitowaną.

Bardzo rozumnie pisały *Plzeňské Listy*: „Wśród ludzi rozumnych, zapatrujących się na politykę rozważnie, a nie jak na jakiś sport, nie może postępowanie radykałów wywołać uznania. Tem bardziej, że stało się to właśnie w czasie, kiedy w Czechach uznaje się czem dalej, tem bardziej, potrzebę jednolitego postępowania naszej delegacyi w Wiedniu. Ale tej świadomości nie wolno radykałom nadużywać do tego, żeby narzucali swe postanowienia większości — tak, ażeby 112 posłów miało być pod komendą 13 osób".

Wspominaliśmy w zeszłym zeszycie o pożądanych oznakach, że w Czechach zanosi się na nowe ugrupowanie stronnictw. Przybywa takich oznak i głosów rozsądnych coraz więcej.

Dnia 17 kwietnia odbył się w Hodoninie wiec, niebywały na stosunki czeskie, bo taki, na którym zabierali głos przedstawiciele rozmaitych stronnictw: socyalista Vaněk, ludowcy Dr. Hess, Novák, Smrček

i ksiądz **Šilinger** z obozu katolicko-narodowego. Poseł **Hess** nawoływał do porozumienia się stronnictw i uznawał, że zdrowy rozwój społeczeństwa wymaga, żeby było w narodzie stronnictwo nietylko postępowe, ale też konserwatywne. Zastrzegał się tylko, że konserwatyści powinni wyłączyć ze swego programu wszelkie kwestye religijne.

Tegoż dnia przemawiał w berneńskim Narodnim Klubie Dr. **Žáček**, przywódca staroczechów morawskich. Wykazywał, jak posłowie czescy marnują siły na drobne utarczki, narzucane im z dnia na dzień i prowadzą bezpłodną opozycyę w najrozmaitszych formach, nie mając przed sobą celów wielkich, jasno określonych. Są przytem narażeni często na złą opinię u Korony i w jej otoczeniu, na bezpodstawne niechęci, na podejrzenia innych stronnictw, a nieraz i na to, że właśni przyjaciele ich nie rozumieją, a przeciwnicy prześladują tem bardziej. Czechom byłaby może przypadła rola przewodnia w parlamencie, gdyby byli weszli do Izby, jako jednolita grupa parlamentarna. I sferom rządzącym musi zależeć na tem, żeby Czesi przystąpili do pozytywnego współpracownictwa, a w takim razie musianoby oczywiście zapewnić Czechom wpływy, stosownie do ważności narodu czeskiego dla państwa. Ale posłowie czescy muszą sami dać inicyatywę, zaprowadzić porządek we własnych szeregach, a wreszcie zabrać się do nieuniknionych układów z Niemcami. Bezwarunkowo trzeba zjednoczyć się w jeden klub parlamentarny, żeby przedstawiać siłę polityczną, bo tylko siłą zdobywa się siłę.

Wspaniały artykuł czytało się w praskiej *Union* (dawniejsza *Politik*) przeciw radykalizmowi politycznemu: Roztrząsając stosunek narodów austryackich do państwa, widzi się, że najtrudniejsze mają stanowisko i znajdują się zarazem w najgorszem położeniu Czesi i południowi Słowianie (Słowieńcy i Chorwaci). Przypadł im los, uchodzić za wiecznych malkontentów i niedogodnych burzycieli pokoju w Cislitawii. Tak zapatruje się na nich biurokracya i taka opinia przedostaje się do kół najwyższych. W rzeczywistości są te narody najgorliwszymi zwolennikami potęgi państwowej Austryi, ale u „góry" sądzi się inaczej i bardzo trudno jest przedostać należyte informacye do kół najwyższych, gdzie walka o słuszne prawo narodowe bywa przedstawiana w fałszywem świetle, jako antyaustryacka. Wobec tego stanowisko posłów tych narodów jest pełne tem cięższej odpowiedzialności, wymaga szczególnego uzdolnienia, a zwłaszcza dużo taktu.

„Nietylko jednak sami posłowie, lecz cały ogół ludności musi zachowaniem się i dojrzałem występowaniem publicznem stwierdzać, że nam zależy na wielkości Austryi i to pomimo to, że jesteśmy tu skazani na walkę o to, co naszem jest prawem, przeciw tegoczesnym rządom — a więc należy przedewszystkiem potępić głośno wszelką agitacyę antymilitarną, bo pisma niemieckie wydymają każdy taki epizod prowincyonalnych wartogłowów do niebywałego znaczenia, podczas gdy o niemieckich antymilitarystach nie słyszy się nic — zachowywanie się tego lub owego narodu wobec potrzeb armii służy aż nazbyt często za miarę jego wierności. Niemcy okazują o wiele więcej dojrzałości taktycznej, podczas gdy czeskie stronnictwo narodowych socyalistów (**Klofača** i **Choca**) dostarczyło tylko Niemcom nowego materyału do akcyi przeciwko Czechom, jako niebezpiecznemu dla państwa żywiołowi. Jakżeż trudno naszym posłom w Wiedniu bronić spraw cze-

skich, jeżeli lud sam czyni im to niemożliwem, nie wykazując w postępowaniu swem należytej dojrzałości i karności. Należy ogół pouczać w tym kierunku, a przedewszystkiem winno być każdemu jasnem to, że lepsza nasza przyszłość spoczywa tylko w Austryi, i że osiągnięcie celu można przyspieszyć tylko w ten sposób, jeżeli będziemy w Austryi więcej znaczyć. A każdemu musi być hasłem: „I ja jestem odpowiedzialny za losy swego narodu!“

Dnia 8 maja miał mowę polityczną we Všetatach poseł Karol Prášek, b. minister-rodak z gabinetu Becka, a reprezentant stronnictwa agrarnego. Zwrócił się ostro przeciw radykalizmowi, co stanowi istny wypadek polityczny, bo stronnictwa radykalne uważały obóz agrarny za pół na pół swój. A ganił Prášek nietylko klofaczyków, ale również partyę „prawnopaństwowo-radykalną“ (której radykalizm polega na tem, żeby się radykalnie domagać przywrócenia praw korony św. Wacława).

Przy tej sposobności opowiedział mowca, jak baron Beck wybrał się na żądanie posłów agrarnych do Pragi, żeby wpłynąć na zaniechanie obstrukcyi niemieckiej w sejmie czeskim.

„Ale co się nie dzieje? — mówi Prášek — Radykalna prasa czeska strąbiła lud do demonstracyj ulicznych przeciw premierowi, który przyjeżdżał z Wiednia do Pragi. Cóż to za konsekwencya, gdy stronnictwo prawnopaństwowe, głoszące bez końca, że nasze sprawy narodowościowe mają się załatwiać w domu, na gruncie czeskim, wydaje hasło, żeby rząd wiedeński, wybierający się do królewskiej Pragi, przywitać gwizdaniem, a może i czem gorszem? Dziwny zaiste radykalizm prawnopaństwowy! Wśród takich okoliczności, nie radząc się nawet swych klubów, zdając sobie sprawę z tego, że niesposób pozostawać w ministerstwie przeciw woli większości ludu czeskiego, podaliśmy się do dymisyi, ja i kolega Fiedler“.

Szkoda, że to zrobili — boć było to ustępstwem dla radykalizmu! Tu naszem zdaniem p. Prášek pobłądził.

Baron Bienerth ofiarował Czechom trzy fotele ministeryalne, ale Czesi odmówili, bo jednym z ministrów czeskich miał być — o zgrozo — klerykał. W tym wypadku przyznaje się eksminister do popełnienia błędu. Powiedział dosłownie: „Gdybyśmy byli wówczas przyjęli te trzy fotele, moglibyśmy mieć już dzisiaj gabinet na równe połowy“ (tj. połowę ministrów słowiańskich, połowę niemieckich .

Dnia 4 maja przemawiał prof. Masaryk w Pradze o położeniu politycznem. Kładł nacisk na konieczność porozumienia się z Niemcami, bo ta ciągła wojna narodowa zagraża już parlamentaryzmowi, jako takiemu, a parlament potrzebny i Czechom i Niemcom. Porozumienie byłoby walną przysługą dla sprawy postępu i wolności.

Dziewiąty zjazd stronnictwa młodoczeskiego (narodni strany svobodomyslné) okazał, że stronnictwo, porażone przy ostatnich wyborach powszechnych, rozporządza jednak znacznemi siłami, a umiejąc z poniesionych klęsk wysnuwać dla siebie naukę, zdolnem jest do reorganizacyi. Odkąd *Narodni Listy* zerwały z demagogicznem krzykactwem, straciły może na ilości zwolenników, ale zyskały za to na jakości ich. Nowo pozyskani, czy odzyskani żołnierze młodoczeskiego obozu, to sami dobrzy

wojownicy, ludzie poważniejsi, z którymi trzeba się liczyć — i dzięki którym można przeprowadzić reorganizacyę partyi. Straci na tem stronnictwo realistów (masarykowców), do którego zbiegło wielu, bardzo wielu młodoczechów, zrażonych płytkiem krzykactwem *Nar. Listów*; teraz zaś wielu powraca, zapisując się pod sztandar polityki pozytywnej.

W ostatnim roku założyło stronnictwo 27 nowych organizacyj lokalnych. a rozporządza dziś dwoma dziennikami i 27 innemi pismami.

Prasa słowacka zamieszcza coraz częściej artykuły o Madiarach, nie polemiczne tylko, lecz informacyjne. Dowiadujemy się też z przyjemnością, że zaczyna się budzić wśród Madiarów tu i ówdzie rozwaga nakazująca uznać prawa „narodowości".

W Budzyniu wychodzi miesięcznik *Nyugat,* skupiający grono młodych poetów i literatów, gorących patryotów, lecz nie zgadzających się na obecne oficyalne kierunki madiarskiej nauki, sztuki i polityki szowinistycznej. Literacki kierunek nadaje „nyugatistom" (zachodowcom) poeta A d y, a stoją wszyscy blisko tego grona uczonych i polityków, które wydaje miesięcznik *Huszadik Szazad* (XX. wiek), a uważają za swego duchowego przodownika profesora uniwersytetu P i k l e r a. Kierunek ten zrywa ze szowinizmem i gotów byłby do daleko sięgających układów z narodowościami zamieszkującemi państwo węgierskie — ale na razie jest to tylko teoya, bo zwolennicy tego prądu, jakkolwiek bardzo utalentowani, w życiu publicznem wpływów jeszcze nie posiadają, a czy je posiędą, przewidzieć trudno. Zaznaczyć trzeba, że do kierunku tego zaliczają się sami rodowici Madiarzy; niema wśród nich ani Żydów, ani zmadiaryzowanych Słowaków ub Niemców.

Pismo *Vilag* zamieściło dłuższy artykuł naukowego przywódcy demokratów madiarskish, socyologa O s k a r a J á s z i e g o, który załatwienie kwestyi narodowościowej zalicza do naczelnych punktów programu demokratycznego. Artykuł ujmuje się za Słowakami stanowczo, broni ich przed zarzutem panslawizmu i uznaje słuszność dążenia. żeby kraina słowacka stanowiła osobną całość administracyjną („slovensko okolje") z uwzględnieniem języka słowackiego, jako urzędowego.

Tenże *Vilag* oświadczył się za wznowieniem „Macierzy słowackiej".

Ciekawe fakty i poglądy znajdujemy w Nrze 32 *Slovenského Dennika*:

M a r y a T e r e s a przez 40 przeszło lat swatała magnatów węgierskich z niemieckiemi księżniczkami, a dziedziczki posażne madiarskie wydawała za Niemców. Historyk austryacki A r n e t h pisze, że jeszcze jednej takiej M a r y i T e r e s y, a madiarska arystokracya byłaby się zniemczyła. Ale prowokacyjna metoda J ó z e f a II. i jego następców ocuciła w nich poczucie narodowe, a niebawem nabyła świadomości narodowej średnia i drobna szlachta. Szlachta ta węgierska etnograficznie z rozmaitych pochodząca narodowości — czuła się jednak jednolitym s t a n e m, a wspólne interesy ekonomiczne, wspólna reprezentacya w wyłącznie szlacheckim sejmie i wspólność języka urzędowego: ł a c i n y, tak spoiły członków tej warstwy, że z czasem wyrobiło się i wspólne poczucie plemienne. „Madiarska szlachta (ziemiaństwo) wzięła jakoś górę nad słowacką, rumuńską i niemiecką i wytworzył się jeden madiarski naród s z l a c h e c k i".

Świat szedł naprzód, a Madiarom nie zabrakło takich, którzy nie chcieli pozostawać w tyle. Wybitni magnaci, w pierwszym rzędzie Széchenyi, poczęli działać w duchu zachodnio-europejskim. Już przed rokiem 1848 mogli się Madiarzy poszczycić nazwiskami: Vörösmarty, Petöfi, Eötvös, Arany, Kossuth. Szlachcic madiarski kształcił się, pracował. „Szlachta podniosła Madiarów, oni są ojcami teraźniejszej siły madiarstwa". Byli to ludzie dzielni, postępowi, pragnący wytworzyć z Węgier państwo kulturalne, europejskie. A przytem „Széchenyi, Eötvös, Deák przy całym swym gorącym patryotyzmie madiarskim nie byli szowinistami".

Zmieniło się to po r. 1867. Keleti wynalazł nową definicyę „narodu politycznego", według której przynależność państwowa rozstrzyga o wszystkiem; Ballagi i Körösi zaczęli operować statystyką. „Z narodu madiarskiego chcieli utworzyć coś nowego a wspaniałego — pożerającego wszystko, co niemadiarskie. Tymczasem jednak upadli Madiarzy duchowo". Dziennikarstwo, stojące tak wysoko za czasów Jokaja, opadło pod przewodem *Budapesti Hirlapu* „do poziomu nagonki dziennikarskiej". „Słusznie mówi Ludevit Hatvany, że madiarstwo nie wydało w dziedzinie ducha w ostatnich latach 50 żadnego dzieła europejskiego znaczenia. Teraźniejsze pokolenie czerpie jeszcze wciąż z Petöfiego, Aranyego, Jokaja. Redaktor Rákosi pędził swój program szowinistyczny par force, aż wreszcie doprowadzili do tego, że utracili szacunek w całej Europie".

Dzisiejszy ziemianin madiarski traci już wiarę w szowinizm; zresztą upada kulturalnie i majątkowo. „System komitatowy nęka już samych tiszowców i andrassowców, a straszliwy rozmach żydostwa i powszechny upadek moralny przerażają lepszych ludzi. Dzisiaj już nawet szlachta kręci głowami nad tem, że tę politykę plemienną, zaborczą, uprawianą w kierunku ideologii ziemiańskiej, robią zmadiaryzowani Żydzi, Niemcy i Słowacy. Rákosi, dziennikarz wszechpotężny — Herceg, pierwszy powieściopisarz — Wekerle, największy polityk — wszyscy trzej Niemcy".

Inny artykuł *Slovenského Dennika* (Nr. 52) „Židovska plutokracia v Uhorsku" stwierdza, że na Słowaczyźnie zaczyna się walka o emancypacyę z pod przewagi żydostwa i zdarzają się już Żydzi, liczący się z przyszłością słowackiego ruchu narodowego. „Takich, którzy głosują ze Słowakami, niema wprawdzie wielu, ale kilku ich przecież jest. Lepsze żywioły żydowskie zaczynają patrzeć poważnie na naszą walkę narodową. Możemy się o tem przekonać z artykułów *Huszadik Századu, Népszavy, Világu*. Zdarzają się i wśród Żydów ludzie płynący przeciw prądowi i posiadający dość odwagi, żeby stanąć w szeregach walczących o powszechne prawo głosowania, o demokratyzm i postęp. A czy to wyrachowanie, czy idealizm, czy taktyka polityczna, do tego nam nic". Trzeba się bronić od żydowskiego wyzysku, ale przyjmować też pomoc od Żydów postępowych.

Arystokracya żydowska — pisze dalej *Slov. Dennik* — postępuje tak, jakby nie było całkiem ubogich Żydów i jakby przybyli byli na Węgry razem z Atyllą. Dnia 12 maja „wygłosił członek Izby magnatów, Leon Lánczy, bogaty żydziak peszteński, mowę, w której wystąpił bardzo ostro przeciw żądaniu powszechnego prawa głosowania, bo należy mieć wzgląd na hi-

storyczny rozwój Magyarorszagu i uniemożliwić przewroty rewolucyjne. Lánczy i jego współplemieńcy, milionerzy żydowscy, walczą o historyczną cechę kraju, oni są konserwatystami!" Oni, którzy dopiero po roku 1870 otrzymali równouprawnienie z innemi organizacyami religijnemi na Węgrzech! Kiedy chodziło wówczas o „recepcyę" religii żydowskiej, najbardziej sprzeciwiali się temu konserwatyści. „A minister Zichy niedawno jeszcze twierdził, że żydowska wiara właściwie nie jest zupełnie równouprawniona z resztą wyznań, bo ustęp XX. ustawy z roku 1848 nie tyczy się Żydów"... „Grubiańskim tonem przemawiał wtenczas (podczas rozpraw o „recepcyi") stary Tisza na sejmie przeciw Żydom. A sojusznik syna tego samego Tiszy, klerykał Zichy i dziś nie chce uznać równouprawnienia z chrześcijanami".

Konkluzya: „Pan Lánczy nie osięgnie tem niczego. Co najwyżej mógłby się rozbudzić w ludzie antysemityzm ekonomiczny".

Artykuł grozi więc Żydom, żeby nie przeszkadzali Słowakom podczas wyborów, jeżeli im miła... kieszeń. Widocznie stronnictwo patryotyczne słowackie czuje się już na siłach.

Dwa razy odbywały się w **Chorwacyi** w ubiegłych tygodniach wybory uzupełniające. Za pierwszym razem frankowcy przepadli w czterech okręgach mniejszościami jeszcze słabszemi, niż podczas ostatnich wyborów powszechnych. Zwyciężyli kandydaci poleceni przez kompromis bana z koalicyą serbo-chorwacką, którzy zgłosili następnie, że przystępują do koalicyi. W piątym okręgu wyszedł z urny starczewicianin (Dr. Balaško), kandydat grupy politycznej, która odłączyła się od frankowców przed trzema laty.

Powtórnie odbyły się wybory uzupełniające 7 maja w dwóch okręgach: w Brodzie nad Sawą po frankowcu i w Ludbregu, gdzie zrzekł się mandatu Stjepan Radić (wybrany był bowiem w dwóch okręgach). Zaszła potrzeba wyborów ściślejszych. Ludowcy zawarli kompromis z koalicyą serbochorwacką, dzięki czemu przeszedł Dr. Ante Radić (brat Stjepana) przeciw kandydatowi starczewiciańskiego odłamu „czystego stronnictwa prawa". W Brodzie zwyciężył zaś nad frankowcem Dr. Hinković, obrońca z procesu zagrzebskiego, i to również dzięki temu samemu kompromisowi.

Cieszymy się z wyniku wyborów, a jeszcze bardziej z owego kompromisu. Aczkolwiek wiemy, że poseł Radić nie podziela naszego zdania, zwolennikiem koalicyi wcale nie jest, a kompromis zawarł z opportunistycznej konieczności, bez myśli o jakichkolwiek dalszych następstwach, obstajemy jednakowoż przy twierdzeniu, że porozumienie się stronnictwa ludowego z koalicyą jest pilną potrzebą życia publicznego na słowiańskiem południu, a p. Radić ma przed sobą wdzięczną misyę, stać się pośrednikiem jeszcze dalej, pomiędzy koalicyą a słowieńskiem stronnictwem ludowem i jeżeli tę misyę swoją zrozumie, może dokonać wielkiego dzieła, któreby zmieniło stosunki monarchii pod niejednym względem.

Wiadomo nam, że posłowi Radićowi kombinacye te wydają się dziś niemal fantastycznemi, cudacznemi; wiemy, że w Lublanie nie możnaby też jeszcze głośno o tem rozprawiać; ale wiemy również, że naj-

donioślejsze sprawy przygotowuje się po cichu i że prawda polityczna leży często tam, gdzie jej ogół nie zwykł szukać. Niema to więc nic do rzeczy, że opinia publiczna nie przyjęłaby dziś tego programu ani w Zagrzebiu, ani w Lublanie; wystarczy też na razie, żeby się nad tem zaczęli zastanawiać ci, którzy wytwarzają opinię publiczną.

Dlatego uważamy za ważny moment polityczny, że opportunizm walki wyborczej zmusił chorwackich ludowców do kompromisu z koalicyą. Zbieg okoliczności, który zmusił te dwa stronnictwa przyszłości do bliższego zetknięcia się, wydaje się nam nader szczęśliwem wydarzeniem.

Dwa stronnictwa? Właściwie dwie organizacye, które kiedyś, w przyszłości, mogłyby się uważać za równolegle i wzajemnie się uzupełniające; jedna społeczna — a druga polityczna.

Oczywiście trzebaby, żeby w łonie koalicyi zmieniło się też to i owo. Ale koalicya jest stronnictwem żywotnem, które będzie się rozwijać, czynić postępy, a więc... zmieniać się.

W Sarajewie zaczął wychodzić **serbski** *Pregled* „revija za nauku i socijalni život“ (ośm zeszytów czteroarkuszowych na rok), jako organ młodszej generacyi serbskiej w Bośni. Wydawcą jest Wasyl Grgić, redaktorem Dr. Jefto Dedijer. Artykuły są poważne i znać, że redakcyi chodzi przedewszystkiem o znawstwo rzeczy, o stwierdzanie faktów. Chcą, żeby demokratyzm serbski był „pozytywny“. „Pragniemy podnieść poziom dyskusyi, nieodłącznej od nowej kultury, ażeby dać intelligencyi możność, żeby nie zatonęła w falach demagogii“. Redakcya przyjmuje artykuły wszelkich przekonań, pozostawiając całą odpowiedzialność autorom. A więc „wolna trybuna“ do omawiania spraw, „których jest u nas mnóstwo dojrzałych do załatwienia“.

Przy wyborach do zarządu cerkiewnego Serbów węgierskich pozyskali zwolennicy koalicyi serbochorwackiej znakomitą większość. Weszli do zarządu tacy zdeklarowani „koalicionaši“, jak Pribičević i Hinković.

W Serbii odbyły się wybory do rad gminnych, których wyniki są znamienne dla obecnego usposobienia opinii publicznej. Radykali pozyskali 752 gmin, samostalcy 417, a połączeni napredniacy i narodniacy 259 gmin. Radykali ponieśli klęskę, utraciwszy 122 gmin, z czego 69 na rzecz napredniaków i narodniaków.

Artykuł *Swiata Słowiańskiego* o Rosyi i Polsce wobec Słowiańszczyzny (kwiecień b. r.), wywołał oddźwięk nawet wśród najdalszych dla nas **Bułgarow**, którzy zresztą bardzo słabo śledzą bieg polityczno-narodowego i kulturalnego życia Polaków. Jeden z najpoważniejszych miesięczników bułgarskich, *Błgarska Sbirka*, organ prof. S. Bobczewa, pomieszcza w ostatnim zeszycie (4-ym) artykuł W. Stojkowa p. t. Двѣ славянства или едно? („Dwie Słowiańszczyzny czy jedna?“). Autor streszcza poglądy p. Stanisława Skarżyńskiego i uwagi redakcyi naszej według relacyi... *Narodnich Listów*[1]), a widzi w tem objaw przykrej,

---

[1]) Dziwna „metoda“; tem dziwniejsza, że *Błgarska Sbirka* ma u siebie *Świat Słowiański*, otrzymywany na wymianę.

szkodliwej niemal skrajności. Zapatrywania swego nie wyłuszcza należycie, tylko powołuje się na odpowiedź *Narodnich Listův*, Nr. 84., „Dvoji Slovanstvo“.

Bułgarski sprawozdawca popełnił kardynalny błąd, że zupełnie bezkrytycznie, z całą dobroduszną łatwowiernością wziął komentarz i odpowiedź *Nar. Listów*. Stanowisko *Swiata Słowiańskiego* chyba dosyć jest jasne i należało je poznać z oryginału polskiego, a nie via Czechy (a zwłaszcza *Nar. Listy)*.

Autor polskiego artykułu stanowczo występuje przeciwko sztucznemu rozłamowi, a tylko przedstawia stan obecny, jaki się sam z siebie naturalnie tworzy, dzięki wrogiemu stanowisku Rosyi względem Polski — daje horoskopy na przyszłość, jeżeli rząd rosyjski nie zmieni taktyki względem Polaków i nie uzna najżywotniejszych praw narodowych i ludzkich tego narodu, praw, o których Bułgarzy nawet nie przypuszczają dzisiaj, że można o nie bezskutecznie wiek cały walczyć!

Rozłamu w pracy w imię jakiejkolwiek idei nikt trzeźwy żądać nie może; naturalną więc rzeczą, że i w zakresie idei słowiańskiej jedność byłaby idealną podstawą należytego jej rozwoju. Ale trzebaby ku temu w pierwszym rzędzie warunków zdrowych i normalnych, a tych Rosya Polakom nietylko nie daje, ale ciągle je uszczupla. Rozłam więc Rosya sama tworzy, do podziału na dwie Słowiańszczyzny sama prowadzi, represyjną polityką swoją sama Słowianom nie-polskim oczy otwiera, a budząc w nich poczucie niesprawiedliwości, dzieli ich własnowolnie na dwa obozy, z których uczciwszy, sprawiedliwszy i bardziej ludzki, stanąć musi i staje już dziś po stronie Polski.

Zamiast więc dawać nam nauki, z jaką Słowiańszczyzną mamy przyjeżdżać do Sofii, niech p. Stojkow przedewszystkiem umie uszanować najistotniejsze narodowe i ludzkie prawo uciśnionego narodu polskiego niech w tym „wielkim rosyjskim narodzie“ postara się odróżnić dwie tak dalekie od siebie idee, jak ideę sprawiedliwości dla nierosyjskich narodów i zaślepiony fanatyzm wszechrosyjski, posługujący się metodą rusyfikacyi i wydzierania narodowi tego, co jest jego najbardziej przyrodzoną własnością: języka i wiary, — jeśli już pominiemy prawa obywatelskie.

Rozumiemy, że dla p. Stojkowa może być „neponiaten separatizm“ polski — wierzymy, że dla niego „niema sławianstwo i bez welikija russki narod“, ale niech pamięta, że dla nas niema Słowiańszczyzny bez sprawiedliwej Rosyi, dla nas niema idei słowiańskiej bez polskiej idei narodowej, bez poszanowania polskich praw narodowych.

Jeśli przyjedziemy do Sofii, — z „podwójną“ przyjedziemy Słowiańszczyzną — tj. z tą, jaką stworzyła i stwarza nieustannie Rosya, z tą, co odróżnia Hercenów, Sołowiewów, Pogodinów, Tołstojów od najrozmaitszych — Filewiczów, Bobrinskich i im podobnych. I niech będzie przekonany: mówić będziemy tak długo o dwu Słowiańszczyznach, jak długo ją Rosya tworzyć i szerzyć będzie.

tg.

KRONIKA.

Chorwaci i Słowieńcy w Tryeście wzorem dla Polaków i Czechów w Cieszyńskiem. Zaszedł wypadek, świadczący zaszczytnie o prawdziwie braterskich stosunkach, panujących pomiędzy Słowieńcami a Chorwatami. Stowarzyszenie ku popieraniu słowiańskiego szkolnictwa ludowego w Istryi, Družba św. Cyryla i Metodego — jest wspólne, słowieńsko chorwackie. Z początkiem kwietnia przypadła do dyspozycyi kwota przeszło 7.000 K i miała być rozdzielona po połowie Chorwatom i Słowieńcom. Ale tryesteńska szkoła słowieńska przy św. Jakóbie znajduje się właśnie w ciężkiej potrzebie. Chorwaci postanowili tedy, żeby dać Słowieńcom 5200 K, a dla siebie zatrzymali tylko 2000 K. Kierują się zasadą, że każdy interes jednej strony jest zarazem interesem drugiej i pilnują wspólnemi siłami przedewszystkiem posterunku najbardziej zagrożonego, bez względu na to, czy jest słowieńskim, czy chorwackim.

Rosyjska literatka w Cieszyńskiem. Kierowniczka gimnazyum żeńskiego w Krzemieńcu, E. de Witte, wybrała się na dwumiesięczny pobyt do Księstwa Cieszyńskiego, ażeby studyować stosunki polsko-czeskie.

Odczyty polskich prelegentów w Pradze. Drugi z rzędu „rocznik" z fundacyi utworzonej przez warszawską wycieczkę na wystawę praską 1908 roku — tyczył się wyłącznie sztuki.

Kustosz krakowskiego „Domu Matejki", p. Maciej Szukiewicz wygłosił dwa odczyty o Matejce — a pan Henryk Opieński, kompozytor z Warszawy również dwa o Chopinie. Wykłady odbyły się w dniach 9—12 maja w sali „Besedy mieszczańskiej".

Pisma praskie podawały obszerne streszczenia odczytów (wygłaszanych po czesku), nie szczędząc prelegentom słów gorącej pochwały.

Společenský Klub československo-polský zajął się przygotowaniem odczytów i urządził po ich zakończeniu wieczór towarzyski.

Instytucya tych odczytów — mająca byt zapewniony jeszcze na lat ośm — ma wartość, jako działanie pozytywne. Toteż z wielką przykrością przychodzi nam stwierdzić, że nie znaleźliśmy w prasie praskiej ani słówka o drugiej połowie tej akcyi, tj. o projektowanych odczytach czeskich prelegentów w Warszawie. Sprawa ta utknęła w Pradze, pomimo starań robionych ze strony polskich członków Komitetu zarządzającego fundacyą.

„Osvětový Svaz" (Związek oświatowy) — czeska organizacya stowarzyszeń pracujących nad oświatą powszechną — odbył czwarte doroczne zgromadzenie dnia 8-go maja. Sprawozdanie wykazuje 3340 członków. W ostatnim roku założono dla terminatorów 80 „besed", stowarzyszeń, w których się bawią i pouczają; 90 czytelń ludowych; urządzono 745 odczytów, nadto wystawy artystyczne, koncerty ludowe, przedstawienia teatralne itp.

„Svaz" dzieli się na 4 sekcye:

Sekcya dla wychowania młodzieży zakłada „besedy" dla terminatorów, urządza wycieczki do miejsc historycznych, zakładów przemysłowych, muzeów, urządza teatrzyki amatorskie, w których występują terminatorowie, agituje przeciw alkoholowi i tytoniowi, a stara się ułatwiać sposobność kształcenia się ogólnego i zawodowego.

Sekcya czytelniana stara się o zakładanie i celowe prowadzenie czytelń ludowych, o uzupełnianie ich i wymianę książek, o to, żeby w całej organizacyi czytelnianej panował pewien system, żeby lektura była dobierana celowo a systematycznie i t. d.

Sekcya odczytowa nietylko stara się o odczyty, ale też o materyał na nie, wydaje najlepsze z nich drukiem, kupuje scyoptykony itp.

Sekcya artystyczna urządza wędrowne wystawy i wydaje dobre a tanie reprodukcye.

„Svaz" wydaje własne czasopismo *Česká Osvěta*.

„Slovenska Straža" — pod tą nazwą zawiązało się w Lublanie stowarzyszenie, mające objąć wszystkie ziemie słowieńskie.

Organ młodszego pokolenia Słowieńców styryjskich, *Naš Dom*, taką daje odpowiedź na pytanie o celach stowarzyszenia:

W krajach słowieńskich jest dużo miejscowości, nazywających się Straža. Niegdyś za czasów tureckich stróżowano tam nieustannie, żeby dać natychmiast znać o zbliżającym się najeździe, zapalając za dnia sterty słomy i chrustu, nocą stosy wysuszonego drzewa, żeby szedł sygnał dymu lub ognia od wzgórza do wzgórza. Dziś trzeba stróżować przed naporem niemieckim, zdążającym przez ziemie słowieńskie do opanowania Adryatyku. Dziś strażami będą organizacye narodowe, a przedewszystkiem oświatowe. Scentralizować je i połączyć do systematycznego działania na gruncie katolickim pragnie Slovenska Straža.

Urządzenie takiej osobnej katolickiej organizacyi oświatowej uchwalono na zeszłorocznem walnem zgromadzeniu „krščansko-socialne Zveze“.

Szkolnictwo ludowe stoi w Chorwacyi na nizkim poziomie i nie można się dziwić temu zacofaniu, skoro w r. 1888 obniżono płace nauczycieli, a lata służbowe przedłużono im z 30 na 40 (naczelnikiem wydziału oświaty publicznej był wtenczas Kršnjavi). Na skutki nie trzeba było długo czekać; niebawem zaprzestano zakładać nowe szkoły, bo brakowało nauczycieli. Obecnie doszło do tego, że nie dostaje nauczycieli już dla istniejących szkół wieloklasowych.

Teraźniejszy sejm ma się zająć poprawą warunków bytu nauczycielstwa chorwackiego.

Arcybiskupem dyakowarskim został ks. Dr. Ivan Krapac. Na mowę powitalną kapituły odpowiedział zepewnieniem, że śp. Strossmayer będzie mu wzorem co do stosunku do narodu chorwackiego i sposobu używania olbrzymich dochodów biskupstwa.

Almanach literacki serbsko-chorwacki ma być niebawem wydany, jako manifestacya jedności narodowej. Wezmą udział w tem sympatycznem wydawnictwie tak weterani pióra, jak Babić-Gjalski, jakoteż najmłodsi, np. Veljko Petrović i Stjepan Kralj.

Marnotrawienie funduszów cerkiewnych. Na liczne zażalenia na gospodarkę majątkiem cerkiewnym serbskim, wysłał rząd do Karłowca radcę ministeryalnego Joanovića, ażeby dokonał kontroli rachunków. Okazało się, że zarząd cerkiewny wydał 210.000 K na niepotrzebne przebudowy pałacu biskupiego w Vršicy i 180.000 K na pałac biskupi w Temeszwarze, a to z kapitałów, których zarząd nie miał prawa naruszać bez pozwolenia rządu. Płacił też zarząd zbyt hojne honorarya pewnym adwokatom za czynności, nie zasługujące na tak wysokie wynagrodzenie. Wszyscy ci adwokaci należą do stronnictwa radykałów serbskich.

Radykali zyskali większość na poprzednim kongresie cerkwi prawosławnej węgierskiej i w ich ręku znajdowały się zarząd i fundusze.

W połowie maja odbyły się ponowne wybory na delegatów do przyszłego kongresu.; większość będą mieć odtąd zwolennicy koalicyi serbochorwackiej.

Gimnazyum w N. Sadzie w Banacie obchodzi 1 czerwca stuletni jubileusz istnienia. Przygotowano trzydniowe uroczystości. w których weźmie udział cała inteligencya serbska z tej strony Dunaju. Gimnazyum to, prawdziwa dźwignia kultury serbskiej, ma bardzo piękne tradycye.

Druk ukończono 24 maja 1910 roku.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Dr. Feliks Koneczny.
Kraków. — Druk W. Korneckiego i K. Wojnara.
Pod zarządem Adolfa Nowaka.

„PRĄD”

Miesięcznik społeczny i literacko-naukowy

POD REDAKCYĄ

Ad. L. Szymańskiego.

Zeszyt 12 zawiera:

Ks. Kamil J. Kantak: „Nowo wydany ułomek „Króla Ducha“: Chrobry — Jagiełło. — *Karol Schott:* „Religijność Słowackiego“. — *St. Cywiński:* „Społeczne poglądy Juliusza Słowackiego“. — Rok Słowackiego“. — *Polemika:* W sprawie artykułu „Do źródeł natchnienia i mocy:“ Odpowiedź J. Kaźmierczakowi przez J. Znitrowicza. — Od Redakcyi. *Korespondencye:* Wilno: — Z Lozany: *Sprawozdania i krytyki*: Wincenty Lutosławski: Darwinizm i Słowacki. — Retté: Z padołu na wyżyny. — *Przegląd czasopism:* Jeszcze w sprawie religijności Słowackiego. — *Z miesiąca:* Dom Stowarzyszenia Robotników Chrześcijańskich. — *Kronika:* Konkurs jubileuszowy. — Ognisko polskie. Przeciw samokształceniu. — „Spójnia“ w Paryżu. — Zjednoczenie narodowości. — Federacya narodowa katolicka studentów belgijskich. — Studenci paryscy wobec strajku budowlanego. — Konkurs na podręcznik handlowy. — Krakowska akademicka Sodalicya Maryańska. — Skutki drożyzny. — Obchód Słowackiego w Dorpacie. — Nowa ustawa uniwersytecka. — Obchód Słowackiego w Petersburgu. — O encyklopedyę. Burszowskie zabawy. — Dom katolickich studentów w Insbruku. — Kompromitacya Warmunda. Ś. p. C. Godebski. — Ekspiacya. — Wychowanie a młodzież dorastająca. — *Notatki statystyczne:* Wszechnica lwowska. — Z dziedziny „monopoli“. — Ze stosunków ekonomicznych w Niemczech. — *Odpowiedzi redakcyi.*

WARUNKI PRENUMERATY:

Z przesyłką pocztową:

Rocznie	Rb.	4
W Austryi rocznie	koron	10
We Francyi „	franków	11
W Niemczech „	marek	9

Adres Redakcyi i Administracyi: **Warszawa ul. Warecka Nr. 10 m. 11.**